

NELSON DE MILLE

AUTOR **BESTSELLERÓW** *GRA LWA* i *POWRÓT LWA*



ŚLIWKOWA WYSPA

Co się kryje za morderstwem pary biologów?



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).

Nelson DeMille

Śliwkowa
wyspa

przełożył
Andrzej Szulc



Warszawa 2012

Tytuł oryginału: *Plum Island*

Copyright © 1997 by Nelson DeMille

www.nelsondemille.net

All rights reserved

Polish edition copyright © Buchmann Sp. z o.o., Warsaw, 2012

Copyright © for the Polish translation by Andrzej Szulc

Projekt okładki: Krzysztof Kiełbasiński

ISBN 978-83-7670-505-7



www.fabrykasensacji.pl

Wydawca:

Buchmann Sp. z o.o.

ul. Wiktorska 65/14, 02-587 Warszawa

Tel./fax 22 6310742

www.buchmann.pl

Konwersja:



*Larry 'emu Kirshbaumowi,
przyjacielowi, wydawcy,
partnerowi w hazardzie*

Podziękowania

Jestem wdzięczny wszystkim wymienionym niżej osobom za to, że podzieliły się ze mną swoją fachową wiedzą. Odpowiedzialność za wszelkie popełnione błędy oraz przeinaczenia ponoszę tylko i wyłącznie ja. Tu i ówdzie potraktowałem fakty w sposób nieco dowolny, zazwyczaj jednak starałem się pozostać w zgodzie z uzyskanymi informacjami.

W pierwszym rzędzie dziękuję detektywowi porucznikowi Johnowi Kennedy'emu z policji hrabstwa Nassau, człowiekowi, który napracował się nad tą powieścią prawie tak samo jak ja. John Kennedy jest oddanym policjantem, uczciwym prawnikiem, doświadczonym żeglarzem, dobrym mężem Carol, dobrym przyjacielem DeMille'ów i nieubłaganym literackim krytykiem. Serdeczne dzięki za poświęcony mi czas i fachowe uwagi.

Chciałbym jeszcze raz podziękować Danowi Starerowi z Research for Writers w Nowym Jorku za jego żmudną pracę.

Wdzięczny jestem również Bobowi i Lindzie Scalia z Southold za pomoc w poznaniu lokalnego kolorytu i zwyczajów.

Składam podziękowania Martinowi Bowe i Laurze Flanagan z biblioteki publicznej Garden City za fachową pomoc w zbieraniu materiałów.

Serdecznie dziękuję Howardowi Polskinowi z CNN oraz Cindi Younker i Mike'owi DelGiudice z News 12 Long Island za udostępnienie mi swoich materiałów filmowych z Plum Island.

Jeszcze raz dziękuję Bobowi Whitingowi z Banfi Yintners za to, że podzielił się ze mną swoją wiedzą i zaraził pasją do wina.

Dziękuję doktorowi Alfonso Torresowi, dyrektorowi Ośrodka Chorób Zwierzęcych na Plum Island za cierpliwość oraz czas, który mi poświęcił. Podziwiam oddanie, z jakim wraz z personelem wykonuje swoją ważną pracę.

Jestem głęboko wdzięczny mojej asystentce Dianne Francis za setki przepracowanych dla mnie godzin.

Przedostatnie podziękowania kieruję na ręce mojego przyjaciela i agenta Nicka Ellisona oraz jego pracownic, Christine Harcar i Faye Bender. Żaden autor nie ma lepszych reprezentantów i lepszych kolegów.

Na koniec gorąco dziękuję Ginny DeMille – to jej siódma książka i tę również redagowała z miłością i entuzjazmem.

Od autora

W kwestiach dotyczących Ośrodka Chorób Zwierzęcych Departamentu Rolnictwa Stanów Zjednoczonych na Plum Island pozwoliłem sobie na pewną licencję literacką przy opisie wyspy i prowadzonej tam działalności.

Trzy osoby mogą dochować sekretu, jeśli dwie z nich nie żyją.

*Benjamin Franklin
„Poor Richard's Almanack” (1735)*

Patrzyłem przez lornetkę na zakotwiczony kilkaset jardów od brzegu ładny, mający czterdzieści stóp jacht. Na pokładzie były dwie pary koło trzydziestki, które spędzały miło czas, opalając się na słońcu, popijając piwo i tak dalej. Kobiety miały na sobie wyłącznie skąpe, niezasłaniające pośladków majteczki, a jeden z facetów stanął na dziobie i ściągnął szorty. Stał tam przez jakąś minutę, wietrząc małego, a potem skoczył do zatoki i opłynął łódź dookoła. Co za wspaniały kraj. Odłożyłem lornetkę i otworzyłem budweisera.

Było późne lato, przez co rozumiem nie koniec sierpnia, ale wrzesień, jeszcze przed jesiennym zrównaniem dnia i nocy. Mieliliśmy już za sobą weekend Święta Pracy i zbliżało się babie lato, cokolwiek to znaczy.

Ja, John Corey, z zawodu gliniarz, na urlopie zdrowotnym, siedziałem w głębokim wiklinowym fotelu na tylnej werandzie domu mojego wujka i przez głowę przelatywały mi płytkie myśli. Doszedłem właśnie do wniosku, iż problem z nieróbstwem polega na tym, że nie wiadomo, kiedy z nim skończyć.

Staroświecka weranda obiega z trzech stron wiktoriański dom z lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego stulecia, prawdziwe чудо z wieżyczkami, gzymsami i spadzistymi dachami. Z miejsca, gdzie siedziałem, rozpościerał się widok na południe, na zatokę Great Peconic, która zaczynała się tuż za opadającym w dół trawnikiem. Słońce wisiało nisko na horyzoncie, dokładnie tam, gdzie powinno się znajdować o godzinie szóstej czterdzieści pięć po południu. Jestem chłopakiem z wielkiego miasta, ale naprawdę zaczynało mi się podobać życie na wsi, rozgwieżdżone niebo i takie rzeczy. Przed kilku tygodniami znalazłem wreszcie na firmamencie Wielką Niedźwiedzicę.

Miałem na sobie prosty biały podkoszulek i przycięte dzinsy, które były obcisłe, zanim spadłem znacznie z wagi. Bose stopy oparłem o balustradę, a między wielkimi palcami lewej i prawej stopy widać było wspomniany wyżej jacht.

O tej porze dnia zaczynają cykać świerszcze, cykady i Bóg jeden wie co jeszcze, ale nie jestem wielkim fanem odgłosów natury, w związku z czym na stoliczku tuż obok miałem przenośny magnetofon, z którego płynęła muzyka zespołu Big Chill. W lewej ręce trzymałem budweisera, na kolanach lornetkę, a na podłodze przy prawej ręce leżał służbowy rewolwer Smith & Wesson kaliber .38 z dwucalowym bębniem, który mieści się świetnie w mojej torebce. Żartuję.

W trakcie dwusekundowej ciszy między „When a Man Loves a Woman” i „Dancing in the Street” usłyszałem lub wyczułem, że ktoś stąpa po skrzypiących starych deskach werandy. Ponieważ mieszkam sam i nikogo się nie spodziewałem, podniosłem z podłogi smitha & wessona i położyłem sobie na kolanach. Żeby ktoś nie pomyślał, że cierpię na paranoję, powinienem chyba wspomnieć, że urlop zdrowotny przyznano mi nie po przebytej śwince, ale po to, by zagoiły mi się trzy rany postrzałowe, dwie po pociskach kalibru dziewięć milimetrów i jedna po

magnum czterdzieści cztery, choć w wypadku ran postrzałowych kaliber nie jest aż taki ważny. Jeśli chodzi o rany postrzałowe, to, podobnie jak w wypadku nieruchomości, największe znaczenie ma lokalizacja, lokalizacja, lokalizacja. Moje trzy rany miały najwyraźniej odpowiednią lokalizację, ponieważ wracałem do zdrowia, a nie wachałem kwiatków od spodu.

Spojrzałem w prawo, tam gdzie weranda zakręcała wokół zachodniej ściany domu. Jakiś facet wyłonił się zza rogu i zatrzymał mniej więcej piętnaście stóp ode mnie, wpatrując się w długie cienie rzucane przez zachodzące słońce. Tak się składało, że jego własny długi cień padał prosto na mnie i facet chyba mnie nie zauważył. Ponieważ miał za plecami słońce, trudno mi było dostrzec jego twarz i zgadnąć, jakie ma zamiary.

- Czym mogę służyć? - zapytałem.

Obrócił głowę w moją stronę.

- A... cześć, John. Nie widziałem cię.

- Siadaj, szefie.

Wsadziłem rewolwer za pasek pod podkoszulkiem i ściszyłem „Dancing in the Street”. Sylvester Maxwell, zwany Maxem, który reprezentuje w tych stronach prawo i porządek, podszedł bliżej i stanął twarzą do mnie, opierając się tyłkiem o balustradę. Miał na sobie niebieski blezer, białą koszulę z zapinanym kołnierzykiem, brązowe bawełniane spodnie oraz żeglarskie buty bez skarpetek. Nie wiedziałem, czy jest na, czy po służbie.

- W tej lodówce są napoje orzeźwiające - powiedziałem.

- Dzięki - odparł, wyjmując z lodu budweisera.

Dla Maksa piwo to napój orzeźwiający. Pociągnął kilka łyków, wpatrując się w punkt oddalony o dwie stopy od swego nosa. Ja ponownie wlepiłem wzrok w wodę, słuchając „Too Many Fish in the Sea” Marvelettes. Był poniedziałek i wynieśli się już dzięki Bogu weekendowi turyści. Jak już wspomniałem, było to po Święcie Pracy, kiedy kończy się okres wynajmu letnich domków, i czuło się powracającą samotność. Max pochodzi z tych stron i nie przystępuje od razu do rzeczy, musiałem więc cierpliwie czekać.

- To twój dom? - zapytał w końcu.

- Mojego wujka. Chce, żebym go kupił.

- Niczego nie kupuj. Jeśli coś lata, pływa albo daje dupy, wynajmij to. Oto moja dewiza.

- Dziękuję za dobrą radę.

- Jak długo tu jeszcze zabawisz?

- Aż wiatr przestanie mi świstać w środku piersi.

Uśmiechnął się, a potem ponownie zapadł w zadumę. Max jest dużym mężczyzną, mniej więcej w moim wieku, to znaczy około czterdziestu pięciu lat, o falistych włosach, rumianej cerze i błękitnych oczach. Kobiety uważają go za przystojniaka, co raczej nie przeszkadza komendantowi Maxwellowi, który jest

samotny i hetero.

- No i jak się czujesz? - zapytał.
- Nieźle.
- Masz ochotę na małą łamigłówkę?

Nie odpowiedziałem. Znam Maxa od jakichś dziesięciu lat, ponieważ jednak tu nie mieszkam, widuję go tylko od czasu do czasu. Powinienem w tym miejscu nadmienić, że jestem detektywem nowojorskiej policji i do momentu gdy mnie postrzelili, pracowałem w wydziale zabójstw komisariatu Manhattan North. Było to dwunastego kwietnia. W Nowym Jorku od jakichś dwudziestu lat nie postrzelono żadnego gliniarza z wydziału zabójstw, sprawa nabrała więc pewnego rozgłosu. Biuro rzecznika policji uderzyło w wielki dzwon, jako że było to ponownie zabójstwo na zlecenie, a ponieważ jestem miły, atrakcyjny, przystojny i tak dalej, można było rzecz dobrze sprzedać. Środki przekazu złapały wiatr w żagle i tak to się toczyło. Tymczasem dwaj sprawcy, którzy mnie załatwili, brykają na wolności. Spędziłem miesiąc w szpitalu Columbia Presbyterian i kilka tygodni w moim mieszkaniu na Manhattanie, a potem wujek Harry zasugerował, że jego letni domek jest odpowiednim lokum dla bohatera. Czemu nie? Przyjechałem tutaj pod koniec maja, zaraz po Święcie Poległych.

- Znałeś chyba Toma i Judy Gordonów - powiedział Max.

Spojrzałem na niego. Nasze oczy spotkały się i zrozumiałem.

- Oboje? - zapytałem.

- Oboje - odparł, kiwając głową. - Chciałbym, żebyś obejrzał miejsce zbrodni - stwierdził, kiedy uczciliśmy ich pamięć chwilą ciszy.

- Dlaczego?

- A dlaczego nie? W ramach przysługi. Zanim ktokolwiek inny tam się zwali. Brakuje mi detektywów w wydziale zabójstw.

W rzeczywistości policja gminy Southold nie dysponuje w ogóle wydziałem zabójstw, co zazwyczaj nie ma większego znaczenia, ponieważ mało kto ginie tutaj gwałtowną śmiercią. Kiedy coś takiego się stanie, przyjeżdża ekipa z policji hrabstwa Suffolk i odsuwają Maxa od sprawy. Max bardzo tego nie lubi.

Trochę lokalnego kolorytu: znajdujemy się na należącym do Long Island cyplu North Fork, w stanie Nowy Jork, w gminie Southold, założonej, wedle przydrożnej tablicy, przez osadników z New Haven w Connecticut, którzy, z tego co wiadomo, mieli na pieńku z królem. Na South Fork po drugiej stronie Peconic Bay leżą modne Hamptons, zamieszkiwane przez pisarzy, artystów, aktorów, wydawców i innych stuprocentowych dupków. Tu, na North Fork, mieszkają farmerzy, rybacy i ludzie ich pokroju. Oraz prawdopodobnie jeden morderca.

Dom wujka Harry'ego stoi w osadzie Mattituck, jakieś sto mil od Zachodniej Sto Drugiej Ulicy, gdzie dwóch dżentelmenów o latynoskiej urodzie wystrzeliło czternaście lub piętnaście pocisków w kierunku waszego oddanego sługi, trafiając trzy razy w ruchomy cel z odległości jakichś dwudziestu, trzydziestu stóp. Nie jest to zbyt imponujący wynik, ale ja się nie skarżę i nie zamierzam ich z tego powodu

krytykować.

Gmina Southold obejmuje większą część North Fork: osiem osiedli, jedną wioskę, Greenport, oraz jedną placówkę lokalnej policji, w której służy około czterdziestu zaprzysiężonych funkcjonariuszy i której szefem jest Sylvester Maxwell. Tak to wygląda.

- Nie zaszkodzi, jeśli rzucisz okiem - stwierdził Max.

- Oczywiście, że zaszkodzi. Co będzie, jeśli potem wezwiecie mnie, żebym zeznawał w jakimś nieodpowiednim momencie? Nikt mi za to nie zapłaci.

- Tak się składa, że zadzwoniłem do gminy i zgodzili się oficjalnie cię zatrudnić. Jako konsultanta, za sto dolarów dziennie.

- Rany. Wygląda mi to na fuchę, do której będę musiał dołożyć.

Max pozwolił sobie na uśmiech.

- Daj spokój, będziesz miał na benzynę i telefon. Zresztą i tak nic nie robisz.

- Czekam, aż zasklepi mi się dziura w prawym płucu.

- To nie będzie zbyt męczące.

- Skąd wiesz?

- Masz szansę zostać dobrym obywatelem Southold.

- Jestem nowojorczykiem. Nowojorczycy nie są dobrymi obywatelami.

- Znałeś chyba dobrze Gordonów. Nie byli twoimi przyjaciółmi?

- Tak jakby.

- No widzisz. Masz już motywację. Nie daj się prosić, John. Wstawaj. Idziemy. Będę ci winien przysługę. Anuluję ci mandat.

Prawdę mówiąc, nudziłem się, a Gordonowie byli porządnyimi ludźmi... Wstałem i odstawiłem piwo.

- Zatrudnisz mnie za dolara tygodniowo, żeby to wyglądało oficjalnie.

- Dobrze. Nie będziesz tego żałował.

- Oczywiście, że będę. - Wyłączyłem „Jeremiah Was a Bullfrog”. - Dużo tam krwi? - zapytałem Maxa.

- Trochę. Zostali postrzeleni w głowy.

- Myślisz, że powinienem włożyć klapki?

- No, nie wiem... Z tyłu wypadło trochę mózgu i kości czaszki.

- W porządku.

Wsunąłem na nogi klapki, obszedłem z Maxem werandę, po czym wsiadłem do stojącego na kolistym podjeździe nieoznakowanego białego jeepa cherokee ze skrzeczącym policyjnym radiem.

Ruszyliśmy długą aleją, pokrytą stuletnią warstwą ostryg i mięczaków. Wujek Harry i wszyscy jego przodkowie wysypywali tam muszle razem z popiołem i żużlem z pieca węglowego, żeby pojazdy nie tonęły w błocie i kurzu. Posiadłość nazywała się kiedyś nadmorską farmą i w dalszym ciągu leży nad morzem, tyle że

większa część działki została sprzedana. Sam teren jest trochę zarosnięty, a flora składa się w większości z rzadko już dziś uprawianych gatunków, takich jak forsycja, wierzba amerykańska i krzaki ligustru.

Sam domek, pomalowany na kremowy kolor, ma zielony dach i zielone obramowania okien. Jest dość fajny i być może kupię go, jeśli policyjne łapiduchy stwierdzą, że do niczego się już nie nadają. Powiniennem poćwiczyć płucie krwią.

Co się tyczy mojej niezdolności do pracy, mam duże szansę na wolną od podatku dożywotnią rentę powypadkową. To policyjny ekwiwalent wyjazdu do Atlantic City, poślizgnięcia się o rozdarty dywan w kasynie Trump's Castle i wyrżnięcia głową w jednorękiego bandytę na oczach adwokata od odpowiedzialności cywilnej. Czyli strzał w dziesiątkę.

- Słuchasz mnie?

- Co takiego?

- Powiedziałem, że znalazł ich sąsiad. O piątej czterdzieści pięć.

- Czy jestem już oficjalnie zatrudniony?

- Jasne. Oboje zostali zabici strzałem w głowę i sąsiad znalazł ich leżących na patio...

- Wszystko to i tak zobaczę, Max. Opowiedz mi o sąsiedzie.

- Dobrze. Nazywa się Edgar Murphy. To starszy pan. Usłyszał, jak łódź Gordonów przypląnęła o piątej trzydzieści. Mniej więcej po kwadransie poszedł tam i odkrył ich zwłoki. Nie słyszał strzałów.

- Nosi aparat słuchowy?

- Nie. Pytałem go. Według Edgara jego żona też ma świetny słuch. Więc może użyto tłumika. A może są bardziej głusi, niż im się wydaje.

- Ale usłyszeli łódź. Edgar jest pewien co do czasu?

- Raczej tak. Zadzwoił do nas o piątej pięćdziesiąt pięć, czyli zaraz potem.

- W porządku.

Spojrzałem na zegarek. Było dziesięć po siódmej. Max musiał wpaść na genialny pomysł, żeby mnie zaangażować, zaraz po przyjeździe na miejsce zbrodni. Zakładałem, że ludzie z wydziału zabójstw hrabstwa Suffolk już tam są. Jechali z małego miasteczka o nazwie Yaphank, gdzie znajduje się siedziba okręgowej policji, o godzinę drogi od miejsca, w którym mieszkali Gordonowie.

Max nie przestawał mówić, a ja próbowałem główkować, lecz minęło już pięć miesięcy, odkąd musiałem zajmować się podobnymi sprawami. Kusilo mnie, żeby warknąć: „Suche fakty, Max!”, ale na razie mu nie przerywałem. Poza tym w głowie słyszałem takty „Jeremiah Was a Bullfrog”, a sami wiecie, jakie to denerwujące, kiedy nie można się odczepić od jakiejś melodii. Zwłaszcza takiej.

Wyjrzałem przez otwartą boczną szybę. Jechaliśmy prowadzącą ze wschodu na zachód główną drogą, noszącą trafną nazwę Main Road, w kierunku Nassau Point, gdzie mieszkają - a raczej mieszkali - Gordonowie. North Fork jest czymś w rodzaju Cape Cod, skrawkiem lądu, owiewanym przez wiatr, otoczonym z trzech

stron przez wodę i pokrytym patyną historii.

Liczba stałych mieszkańców nie przekracza dwudziestu tysięcy, ale wiele osób przyjeżdża tutaj tylko na lato i na weekend, a nowe winnice przyciągają jednodniowych wycieczkowiczów. Każdy, kto założy winnicę, może być pewien, że zaraz zwali się do niego dziesięć tysięcy degustujących wino japiszonów z najbliższego większego miasta.

Tak czy owak, skręciliśmy na południe, do Nassau Point, który jest długim na dwie mile półwyspem w kształcie tasaka, wrzynającym się w Great Peconic Bay. Moją przystań dzielą od domu Gordonów mniej więcej cztery mile.

Nassau Point jest kurortem od lat dwudziestych i można tu spotkać zarówno proste bungalowy, jak i imponujące rezydencje. Spędzał tu kiedyś lato Albert Einstein i stąd właśnie w tysiąc dziewięćset trzydziestym którymś roku wysłał do Roosevelta swój słynny *List z Nassau Point*. Namawiał w nim prezydenta, aby uruchomił produkcję bomby atomowej. Reszta, jak powiadają, jest historią.

Co ciekawe, w Nassau Point wciąż mieszka wielu naukowców; część pracuje w Brookhaven National Laboratory, tajnym ośrodku nuklearnym położonym trzydzieści pięć mil stąd. Inni zatrudnieni są na Plum Island¹, w supertajnym ośrodku badań biologicznych, w którym dzieją się rzeczy tak przerażające, że musieli go umieścić na wyspie. Plum Island leży mniej więcej dwie mile od cypla Orient Point, który stanowi najdalej wysunięty na wschód fragment North Fork – następnym przystankiem jest Europa.

Tak się składa, że Tom i Judy Gordonowie byli biologami pracującymi na Plum Island i możecie być pewni, że zarówno Sylvester Maxwell, jak i John Corey mieli to na uwadze.

- Wezwałeś federalnych? - zapytałem.

Max potrząsnął głową.

- Dlaczego?

- Morderstwo nie jest przestępstwem federalnym.

- Wiesz, o czym mówię, Max - mruknąłem.

Komendant Maxwell nie odpowiedział.

Podjechaliśmy do posiadłości Gordonów, która leżała przy wąskiej drodze biegnącej wzdłuż zachodniego brzegu cypla. Wzniesiony w stylu rancza z lat sześćdziesiątych dom zmodernizowano tak, by odpowiadał potrzebom lat dziewięćdziesiątych. Gordonowie, pochodzący gdzieś ze Środkowego Zachodu i niezbyt pewni, jak potoczy się dalej ich kariera, wspomnieli kiedyś, że wynajmują go z prawem pierwokupu. Gdybym pracował w tej samej branży co oni, też nie robiłbym długoterminowych planów. Nie kupowałbym nawet zielonych bananów.

Skoncentrowałem się na tym, co dzieje się za oknami jeepa. Na przyjemnej alejce, w rzucanych przez drzewa purpurowych długich cieniach stali sąsiedzi i dzieci na rowerach, rozmawiając i spoglądając na dom Gordonów. Na ulicy zaparkowane były dwa nieoznakowane wozy i trzy policyjne samochody z Southold. Podjazd blokowała furgonetka ekipy kryminalistycznej. Niewjeżdżanie i nieparkowanie na miejscu zbrodni, aby nie zniszczyć dowodów rzeczowych, to dobry zwyczaj i pokrzepiła mnie świadomość, że dowodzeni przez Maxa policjanci stanęli jak na razie na wysokości zadania.

Na drodze ustawiły się również dwie telewizyjne furgonetki, jedna z lokalnej stacji Long Island, druga z NBC News.

Zauważyłem także kilku reporterów, którzy wypytywali sąsiadów, podtykając mikrofon każdemu, kto otworzył usta. Nie zaczął się jeszcze typowy cyrk, ale wkrótce powinien się zacząć, gdy inni łowcy newsów dowiedzą się o związkach łączących ofiary z Plum Island.

Biegnące od drzewa do drzewa żółte policyjne taśmy otaczały dom i cały teren. Max zaparkował za furgonetką kryminalistyczną i wysiedliśmy. Błysnęło parę fleszy, a potem zapaliło się kilka wielkich telewizyjnych jupiterów i sfilmowano nas do wydania wiadomości o jedenastej. Miałem nadzieję, że nie obejrzą ich członkowie komisji lekarskiej, nie mówiąc już o dwóch sprawcach, którzy próbowali mnie uziemić i teraz będą wiedzieli, gdzie jestem.

Na podjeździe stał umundurowany funkcjonariusz z notesem w ręku i Max podał mu moje nazwisko, tytuł i tak dalej, w związku z czym byłem już oficjalnie zaangażowany w sprawę i mogłem otrzymać wezwanie od prokuratora i obrońców. Tej właśnie rzeczy chciałem uniknąć, ale byłem w domu, gdy złożyło mi wizytę przeznaczenie.

Ruszyliśmy zwirowanym podjazdem i przeszliśmy przez furtkę na tyły budynku. Teren opadał tutaj wyłożonymi cedrem tarasami aż do długiej przystani, przy której przycumowana była łódź Gordonów. Wieczór zrobił się naprawdę piękny i żałowałem, że Tom i Judy nie mogą się nim nacieszyć.

Dostrzegłem normalną w takich wypadkach ekipę kryminalistyczną, a także trzech umundurowanych policjantów z Southold oraz kobietę ubraną w lekki brązowy żakiet, pasującą do niego spódnicę, białą bluzkę i eleganckie buty. Z

początku myślałem, że jest krewną którejś ofiar i wezwano ją w celu identyfikacji zwłok i tak dalej, ale potem zauważyłem, że trzyma w ręku notes oraz pióro i sprawia oficjalne wrażenie.

Na srebrzystoszarych cedrowych deskach tarasu leżeli obok siebie na plecach Tom i Judy. Stopy zwrócone mieli w stronę domu, głowy ku zatoce, a ręce i nogi przekrzywione, jakby udawali śnieżne anioły. Policyjny fotograf robił zdjęcia ciał. Światło flesza rozjaśniło taras i przez ułamek sekundy zwłoki upodobniły się do upiórów z *Nocy żywych trupów*.

Przyjrzałem się ciałom. Tom i Judy Gordonowie mieli po trzydzieści kilka lat, byli w świetnej formie i stanowili wyjątkowo przystojną parę – do tego stopnia, że brano ich za znane osobistości, kiedy jadali w lepszych lokalach.

Oboje mieli na sobie dżinsy, tenisówki i koszulki polo. Koszulka Toma była czarna, ze znakiem firmowym jakiejś firmy żeglarskiej, a Judy w bardziej modnym kolorze myśliwskiej zieleni z małą żółtą żaglówką na lewej piersi.

Max, przypuszczam, nie widywał dużo zamordowanych osób w ciągu roku, obejrzał jednak dość naturalnych zgonów, samobójstw i wypadków samochodowych, żeby nie zzielenieć. Był posępny, zatroskany i pogrążony w zadumie niczym prawdziwy profesjonalista, ale co chwila zerkał na ciała, jakby nie potrafił uwierzyć, że na tak ślicznym tarasie leżą ofiary morderstwa.

W przeciwieństwie do niego niżej podpisany, pracujący w mieście, gdzie odnotowuje się rocznie półtora tysiąca zabójstw, jest, jak powiadają, ze śmiercią za pan brat. Nie widziałem półtora tysiąca trupów, ale widziałem ich dosyć, żeby nie robiło mi się niedobrze i nie był zszokowany, zdziwiony ani zasmucony. Chociaż gdy chodzi o kogoś, kogo się znało i lubiło, wygląda to inaczej.

Ruszyłem przez taras i zatrzymałem się przy Tomie Gordonie. Miał dziurę od pocisku przy grzbiecie nosa. Judy miała ranę z boku, na lewej skroni.

Zakładając, że strzelała tylko jedna osoba, Tom, jako wysportowany facet, oberwał prawdopodobnie pierwszy, pojedynczym strzałem w głowę; drugi pocisk ugodził w skroń Judy, która obracała się z niedowierzaniem w stronę męża. Obie kule przeszły zapewne przez czaszki i wpadły do zatoki. Spece od balistyki nie mieli szczęścia.

Nigdy nie byłem na miejscu zabójstwa, które nie miałyby swojego zapachu – niewiarygodnie przykrego, jeżeli ofiary leżały jakiś czas martwe. Jeśli jest krew, potrafię ją zawsze wyczuć, a jeśli przebita została jama brzuszna, czuć na ogół specyficzną woń wnętrzości. Nie jest to coś, co chciałbym ponownie wąchać; kiedy ostatnim razem czułem zapach krwi, należała ona do mnie. Tak czy owak, fakt, że morderstwo popełniono na świeżym powietrzu, znacznie łagodził tego rodzaju wrażenia.

Rozejrzałem się dookoła i nie spostrzegłem żadnego miejsca, gdzie mógłby się ukryć zabójca. Szklane przesuwane drzwi na taras były otwarte i strzelający być może stał w środku, ale do Gordonów było stamtąd dwadzieścia stóp i mało kto potrafi trafić w głowę z takiej odległości. Ja sam byłem tego najlepszym dowodem. Z dwudziestu stóp celuje się najpierw w ciało, a potem podchodzi bliżej i wykańcza

ofiarę strzałem w głowę. Były zatem dwie możliwości: zabójca strzelał ze strzelby, nie z pistoletu, albo mógł do nich podejść, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Był kimś, kto wyglądał normalnie i niegroźnie, być może nawet kimś, kogo znali. Gordonowie wysiedli ze swojej łodzi, ruszyli w stronę domu, a potem zobaczyli tę osobę i szli dalej. Zabójca podniósł pistolet, kiedy byli w odległości najwyżej pięciu stóp i ukatrupił ich oboje.

Omiotłem wzrokiem taras i w kilku miejscach zobaczyłem małe kolorowe chorągiewki, wbite w cedrowe deski.

- Czerwone oznaczają krew?

Max pokiwał głową.

- Białe... kości czaszki, a szare...

- Rozumiem.

Dobrze, że włożyłem klapki.

- Rany wylotowe są wielkie, kule wyrwały im całą tylną część czaszki - poinformował mnie Max. - Rany wlotowe, jak widzisz, też są duże, moim zdaniem z czterdziestkipiątki. Nie znaleźliśmy jeszcze żadnej z kul. Prawdopodobnie wpadły do zatoki.

Nie odpowiedziałem.

- Przesuwane drzwi zostały wyłamane, a dom splądrowany - kontynuował Max, wskazując szklane drzwi. - Nie stwierdziliśmy, żeby brakowało jakiejś dużej rzeczy. Telewizor, komputer, wieża, wszystko jest na miejscu. Ale sprawca mógł zabrać biżuterię i inne małe przedmioty.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem.

Gordonowie, jak większość zatrudnionych przez rząd jajogłowych, nie mieli dużo biżuterii, dzieł sztuki i rzeczy tego rodzaju. Ćpun zabrałby drogą elektronikę i wziął nogi za pas.

- Posłuchaj, co myślę - oznajmił Max. - Włamywacz albo włamywacze obrabiali dom, zobaczyli przez szklane drzwi zbliżających się Gordonów, wyszli na taras, zabili ich i uciekli. Tak było? - zapytał, spoglądając na mnie.

- Skoro tak twierdzisz.

- Tak twierdzę.

- Rozumiem.

Brzmiało to lepiej niż: „W splądrowanym domu znaleziono zwłoki dwojga naukowców, którzy pracowali nad supertajną bronią bakteriologiczną”. Max stanął tuż obok mnie.

- Co o tym sądzisz? - zapytał cicho.

- Czy to była punkt piąta?

- Daj spokój, człowieku, nie rób ze mnie balona. Niewykluczone, że mamy tutaj do czynienia ze zbrodnią o międzynarodowych konsekwencjach.

- Ale przed chwilą powiedziałeś, że to może być zwykłe zabójstwo lokatorów,

którzy wrócili do domu w nieodpowiednim momencie.

- Owszem, ale tak się składa, że ci lokatorzy zajmowali się tym... czym się zajmowali - odparł Max. - Spróbuj odtworzyć bieg wypadków - dodał, patrząc mi prosto w oczy.

- W porządku. Zdajesz sobie chyba sprawę, że zabójca nie strzelał zza tych szklanych drzwi. Stał blisko Gordonów. Drzwi, które zastałeś otwarte, były w tym czasie zasunięte, żeby podchodząc do domu, Gordonowie nie nabrali podejrzeń. Zabójca siedział prawdopodobnie tutaj, na jednym z tych foteli. Przypląnął łodzią, bo nie chciał chyba zaparkować przed domem, gdzie wszyscy mogliby go zobaczyć. A może ktoś go podwiózł. Tak czy inaczej, Gordonowie albo go znali, albo nie zaniepokoił ich specjalnie jego widok na tarasie. Może to była kobieta, sympatyczna i sprawiająca miłe wrażenie. Oni podeszli do niej, ona do nich. Zamienili kilka słów i zaraz potem zabójca wyjął pistolet i załatwił ich.

Komendant Maxwell pokiwał głową.

- Jeśli sprawca szukał czegoś w środku, nie była to biżuteria ani gotówka, ale papiery. No wiesz: coś na temat bakterii. Zabił Gordonów dlatego, że chciał ich zabić, a nie dlatego, że go zaskoczyli. Czekał na nich. Przecież o tym wiesz.

Max ponownie pokiwał głową.

- Z drugiej strony widziałem mnóstwo sfuszerowanych włamań, w trakcie których właściciel został zabity, a złodziej nic nie ukradł. Kiedy w grę wchodzi narkotyki, nic nie układa się w logiczną całość.

Szeryf Maxwell potarł podbródek, wyobrażając sobie najpierw nawalonego ćpuna z bronią w rękę, a potem zimnego zabójcę i wszystkie pośrednie możliwości.

Kiedy to robił, przykleknąłem przy ciałach, bliżej Judy. Miała otwarte oczy, naprawdę szeroko otwarte i wyglądała na zdziwioną. Oczy Toma też były otwarte, ale miał spokojniejszy wyraz twarzy od żony. Muchy wyczuły krew wokół ran i chciałem je odgonić, ale i tak nie miało to większego znaczenia.

Zbadałem dokładnie zwłoki, nie dotykając niczego, co powinno zainteresować fachowców. Obejrzałem włosy, paznokcie, skórę, ubrania, buty i tak dalej. Skończywszy, poklepałem Judy po policzku i wstałem.

- Od jak dawna ich znałeś? - zwrócił się do mnie Max.

- Od czerwca.

- Byłeś już wcześniej w tym domu?

- Tak. Powinieneś mi zadać jeszcze jedno pytanie.

- No tak... muszę ci je zadać. Gdzie byłeś o wpół do szóstej po południu?

- Z twoją ukochaną.

Max uśmiechnął się, lecz nie wyglądał na ubawionego.

- Jak dobrze ty ich znałeś? - zapytałem.

Przez chwilę się wahał.

- Tylko na gruncie towarzyskim - odparł w końcu. - Moja dziewczyna wyciąga

mnie na degustacje wina i podobne imprezy.

- Naprawdę? Skąd wiedziałeś, że ich znam?

- Wspomnieli, że spotkali nowojorskiego gliniarza, który wraca do zdrowia. Powiedziałem, że cię znam.

- Jaki ten świat mały - mruknąłem.

Nie odezwał się.

Rozejrzałem się dookoła. Na wschód ode mnie stał dom, na południe rósł gęsty wysoki żywopłot, za którym znajdowała się posesja Edgara Murphy'ego, sąsiada, który znalazł ciała. Na północy, aż do następnego, ledwie widocznego domu, ciągnęły się przez kilkaset jardów nieogrodzone mokradła. Na zachód ode mnie znajdował się trójpoziomowy taras opadający aż do przystani, która wrzyniała się na jakieś sto stóp w zatokę. Na jej końcu stała łódź Gordonów, smukła biała motorówka ze szklanego włókna - długa na trzydzieści stóp formuła trzysta ileś tam. Nazywała się *Spirochete*, tak jak (o czym wiemy z lekcji biologii) wredna bakteria wywołująca syfilis. Gordonowie mieli poczucie humoru.

- Edgar Murphy twierdzi, że Gordonowie często pływali własną łodzią na Plum Island - powiedział Max. - Korzystali z państwowego promu tylko przy złej pogodzie i w zimie.

Pokiwałem głową. Wiedziałem o tym.

- Mam zamiar zadzwonić na Plum Island - ciągnął Max. - Spróbuję dowiedzieć się, o której godzinie wypłynęli. Morze jest spokojne, zaczyna się przyływ i wieje wschodni wiatr, więc mogli płynąć z maksymalną szybkością.

- Nie jestem żeglarzem.

- Ale ja jestem. Dopłynięcie tu z Plum Island mogło im zabrać zaledwie godzinę, choć na ogół trwa to półtorej godziny, maksymalnie dwie. Państwo Murphy słyszeli, jak łódź Gordonów przypląwa mniej więcej o wpół do szóstej. Jeśli uda nam się ustalić, o której wypłynęli z Plum, będziemy mieli większą pewność, że rzeczywiście usłyszeli łódź Gordonów.

- Zgadza się.

Rozejrzałem się po tarasie. Stały na nim normalne ogrodowe meble: stół, krzesła, barek, przeciwsloneczne parasole i tak dalej. Między deskami rosły małe krzaki i inne rośliny, w zasadzie jednak nie było tu miejsca, w którym ktoś mógłby się ukryć i zacząć na dwie osoby.

- O czym myślisz? - zapytał Max.

- O wspaniałym amerykańskim tarasie. Rozległym, zrobionym z niewymagających konserwacji desek, wielopoziomowym, dostosowanym do rzeźby terenu i tak dalej. Nie tak jak moja staroświecka weranda, którą bez przerwy trzeba malować. Gdybym kupił dom od mojego wujka, mógłbym zbudować taras do samej zatoki, zupełnie jak ten tutaj. Choć z drugiej strony nie zostałyby mi dużo trawnika.

Max milczał przez kilka sekund.

- O tym właśnie myślisz? - zapytał.

- Tak. A ty o czym myślisz?

- Ja myślę o podwójnym morderstwie.

- Dobrze. Powiedz mi, co jeszcze ustaliłeś.

- W porządku. Dotknąłem silników - powiedział, wskazując kciukiem łódź. - Kiedy tu przyjechałem, były wciąż ciepłe, podobnie jak ciała.

Pokiwałem głową. Słońce zanurzało się w zatoce, robiło się wyraźnie ciemniej i chłodniej i zaczynałem marznąć w moim podkoszulku i szortach włożonych na gołe ciało.

Na atlantyckim wybrzeżu, od Outer Banks do Nowej Fundlandii, wrzesień jest naprawdę złotym miesiącem. Dni są ciepłe, w nocy przyjemnie się śpi; to lato bez letniego skwaru i wilgotności powietrza i jesień bez jesiennych chłodnych deszczy. Ptaki, które spędzają tu lato, jeszcze nie odleciały, a pierwsze wędrowne ptaki z północy robią sobie przerwę w drodze na południe. Przypuszczam, że gdybym wyprowadził się z Manhattanu i zamieszkał tutaj, całe to zbliżenie do natury, pływanie łódką i łowienie ryb przypadłoby mi do gustu.

- I jeszcze coś - mówił Max. - Szpring jest przywiązany do pali.

- To oznacza wielki przełom w sprawie. Co to jest, do diabła, szpring?

- Cuma. Łódź nie jest przycumowana do pachołków na pomoście, lecz tymczasowo przywiązana do pali, które wystają z wody. Wnoszę z tego, że mieli zamiar niedługo znowu wypłynąć.

- Trafne spostrzeżenie.

- Owszem. Masz jakieś uwagi?

- Nie.

- Jakieś własne spostrzeżenia?

- Obawiam się, że jesteś w tym o wiele lepszy ode mnie, szefie.

- Jakieś teorie, pomysły, przeczucia? Cokolwiek?

- Nic.

Wydawało mi się, że szeryf Maxwell ma zamiar powiedzieć coś jeszcze, na przykład: „Zwalniam cię”.

- Pójdę zadzwonić - mruknął zamiast tego i ruszył w stronę domu.

Zerknąłem ponownie na Gordonów. Kobieta w brązowym kostiumie obrysowywała teraz Judy kredą. W Nowym Jorku obrysem zwłok zajmuje się zazwyczaj detektyw prowadzący śledztwo i domyśliłem się, że tutaj jest tak samo. Chodziło o to, żeby policjant, który ma zamknąć dochodzenie i współpracować potem z prokuratorem, znał sprawę i w jak najszerszym zakresie zajmował się nią. Doszedłem w związku z tym do wniosku, że dama w brązowym kostiumie jest detektywem z wydziału zabójstw i że przydzielono jej tę sprawę. Jeśli więc zdecyduję się pomagać Maxowi, nasze ścieżki na pewno się skrzyżują.

Miejsce, w którym dokonano zabójstwa, to jedno z najbardziej interesujących

miejsc na świecie, jeśli ktoś wie, czego szuka i na co patrzy. Weźmy na przykład ludzi takich jak Tom i Judy, którzy obserwują małe zarazki pod mikroskopem i potrafią powiedzieć, jak nazywają się te zarazki, co w tym momencie knują, co potrafią zrobić osobie, która się im przygląda i tak dalej. Kiedy ja patrzę na zarazki, widzę tylko małe wijące się nitki. Nie mam wyszkolonego oka ani wyszkolonego umysłu do zarazków.

Z drugiej strony, patrząc na zwłoki i na to, co je otacza, widzę rzeczy, których większość ludzi nie jest w stanie dostrzec. Max dotknął silników łodzi i stwierdził, że są ciepłe, zwrócił uwagę, jak przycumowana jest motorówka, i dostrzegł mnóstwo innych drobnych szczegółów, których przeciętny obywatel w ogóle nie zauważa. Ale Max nie jest prawdziwym detektywem i działa mniej więcej na drugim poziomie zaawansowania. Żeby rozpracować podobne do tego morderstwo, trzeba wznieść się na wyższy poziom. Wiedział o tym i dlatego przyszedł do mnie.

Tak się złożyło, że znałem ofiary i dla prowadzącego sprawę detektywa jest to duży plus. Wiedziałem na przykład, że Gordonowie płynęli na Plum Island w szortach, T-shirtach i mokasynach i dopiero potem przebierali się w swoje laboratoryjne fartuchy, skafandry biologiczne czy co tam mieli. Poza tym Tom nie wyglądał jak Tom w czarnym podkoszulku, a Judy była, z tego co pamiętam, bardziej pastelową osobą. Domyślałem się, że ubiór stanowił kamuflaż, a tenisówki włożyli, żeby szybciej się poruszać. Choć może szukałem dziury w całym. Trzeba uważać, żeby tego nie robić.

Na podeszwach ich tenisówek była jednak czerwona glina. Skąd się wzięła? Nie z laboratorium i najprawdopodobniej nie z przystani na Plum Island, nie z ich przystani i nie z ich tarasu. Wyglądało na to, że byli dziś w jakimś innym miejscu. Inaczej się dziś ubrali i ten dzień z całą pewnością skończył się dla nich inaczej, niż się spodziewali. Wchodziło tu w grę coś innego. Nie miałem pojęcia co, ale było to zdecydowanie coś innego.

Mimo to nie można było wykluczyć możliwości, że nadziali się po prostu na włamywacza. Chcę powiedzieć, że może nie miało to nic wspólnego z ich pracą. Max obawiał się tego, był na to wyczulony i mógł, przepraszam za kalambur, mnie tym zarazić. A przed północą to miejsce odwiedzą ludzie z FBI, wywiadu wojskowego i CIA. Chyba że Max złapie wcześniej naćpanego włamywacza.

- Przepraszam.

Odwróciłem się. To była kobieta w brązowym kostiumie.

- Nie ma za co - odparłem.

- Czy ma pan prawo tu przebywać?

- Jestem tu z całą paczką.

- Czy jest pan policjantem?

T-shirt i szorty najwyraźniej nie dodawały mi autorytetu.

- Jestem z szefem Maxwelllem.

- Zauważyłam to. Wpisał się pan?

- Może pani pójdzie i sprawdzi?

Odwróciłem się i zszedłem na niższy poziom tarasu, omijając po drodze małe kolorowe chorągiewki. Zmierzałem w stronę przystani. Kobieta szła tuż za mną.

- Nazywam się Penrose, pracuję w wydziale zabójstw hrabstwa Suffolk i prowadzę to dochodzenie.

- Moje gratulacje.

- I jeśli nie ma pan tutaj żadnej oficjalnej sprawy...

- Będzie pani musiała pogadać z szefem.

Zszedłem na pomost i ruszyłem w stronę przycumowanej łodzi. Wiał całkiem silny wiatr i słońce zaszło już za horyzontem. Nie widziałem teraz żadnych żagli, ale zatoką płynęło kilka motorówek z zapalonymi światłami. Na południowym wschodzie wzeszedł księżyc w trzeciej kwadrze, rozsypując iskry po wodzie.

Trwał przypyływ i pokład trzydziestostopowej łodzi znajdował się prawie na poziomie pomostu. Skoczyłem na łódź.

- Co pan robi? Nie wolno panu tego robić.

Była oczywiście bardzo atrakcyjna; gdyby była brzydka, zachowywałbym się o wiele grzeczniej. Jak już wspomniałem, jej strój sprawiał raczej oficjalne wrażenie, ale kształty skryte pod szytym na miarę kostiumem były symfonią krągłości, muzyką usiłującego wyrwać się na wolność ciała. Prawdę mówiąc, wyglądała, jakby przemycała pod spodem balony. Dostrzegłem także, że nie ma na palcu ślubnej obrączki. Oto pozostałe dane: wiek koło trzydziestki; średniej długości włosy koloru miedzi; oczy niebiesko zielone; skóra jasna, niezbyt opalona jak na tę porę roku; lekki makijaż, pełne usta; brak widocznych znaków szczególnych lub blizn; nieumalowane paznokcie; rysująca się na twarzy irytacja.

- Czy pan mnie słucha?

Miała także całkiem miły głos mimo groźnego tonu, którym obecnie przemawiała. Podejrzywałem, że z powodu ładnej buzi, wspaniałej figury i miłego głosu detektyw Penrose nie zawsze traktowano poważnie i dlatego nadrabiała miną. Prawdopodobnie miała w domu poradnik *Jak się ubrać, żeby utrzyć nosa facetowi*.

- Czy pan mnie słucha?

- Ja panią słucham. A czy pani mnie słucha? Powiedziałem, żeby pogadała pani z komendantem.

- Kieruję tym śledztwem. Zabójstwami zajmuje się policja hrabstwa.

- W porządku, pójdziemy razem do komendanta. Za chwilę.

Rozejrzałem się szybko po łodzi, ale było już ciemno i nie zobaczyłem zbyt wiele. Próbowałem znaleźć latarkę.

- Powinna pani postawić tutaj na noc policjanta - powiedziałem do detektyw Penrose.

- Dziękuję za dobrą radę. Proszę zejść z łodzi.

- Ma pani przy sobie latarkę?
- Niech pan zejdzie z łodzi. W tej chwili.
- Dobrze.

Stanąłem na burcie, a ona nieoczekiwanie podała mi rękę. Miała zimną skórę. Pomogła mi wspiąć się na pomost i w tym samym momencie z kocią zwinnością sięgnęła pod mój podkoszulek i wyjęła zza paska rewolwer. No, no.

Zrobiła krok do tyłu, trzymając w ręku moją spluwę.

- Niech pan się nie rusza z miejsca.
- Tak jest, proszę pani.
- Jak pan się nazywa?
- Detektyw John Corey, z wydziału zabójstw nowojorskiej policji, proszę pani.
- Co pan tutaj robi?
- To samo co pani.
- Nieprawda. Ja prowadzę tę sprawę. Nie pan.
- Tak jest, proszę pani.
- Czy występuje pan tutaj w oficjalnym charakterze?
- Tak jest, proszę, pani. Zostałem zatrudniony jako konsultant.
- Konsultant? W sprawie o morderstwo? Nigdy o czymś takim nie słyszałam.
- Ja też.
- Kto pana zatrudnił?
- Gmina.
- To idiotyczne.
- Zgadza się. - Odniosłem wrażenie, że detektyw Penrose nie bardzo wie, co dalej robić, i postanowiłem jej pomóc. - Czy chce pani przeprowadzić rewizję osobistą?

Wydawało mi się, że widzę na jej wargach przelotny uśmiech. Serce wyrywało mi się do niej, ale równie dobrze mogła to być moja dziura w płucach.

- Jak pan powiedział, że się nazywa? - zapytała.
- John Corey.

Przez chwilę szukała w pamięci mojego nazwiska.

- Ach... to pan jest tym facetem...
- Tak, to ja jestem tym szczęściarzem.

Detektyw Penrose wyraźnie zmiękła. Przekręciła w dłoni moją trzydziestkęósemkę, podała mi ją kolbą do przodu, odwróciła się i odeszła.

Ruszyłem za nią pomostem, a potem trójpoziomowym tarasem do domu. Zewnętrzne światła oświetlały teren przy oszklonych drzwiach i ćmy krążyły wokół okrągłych kloszy.

Max rozmawiał z jednym z techników od zabezpieczania dowodów.

- Poznaliście się już? - zapytał, odwracając się do mnie i do detektyw Penrose.

- Dlaczego ten człowiek bierze udział w śledztwie? - chciała wiedzieć detektyw Penrose.

- Dlatego, że chcę, żeby brał w nim udział - odparł Maxwell.

- Tego rodzaju decyzja nie należy do pana.

- Ani do pani.

Przez jakiś czas odbijali w ten sposób piłeczkę i rozboleła mnie od tego szyja.

- Ona ma rację, szefie - stwierdziłem w końcu. - Zmywam się stąd. Każ mnie odwieźć do domu.

Ruszyłem w stronę furtki, po czym z wystudiowanym dramatyzmem odwróciłem się z powrotem do Maxwella i Penrose.

- Czy ktoś zabrał aluminiowy pojemnik z rufy łodzi? - zapytałem.

- Jaki aluminiowy pojemnik? - zainteresował się Max.

- Gordonowie mieli duży aluminiowy pojemnik, w którym trzymali różne graty. Czasami używali go jako lodówki i wkładali tam piwo i przynętę.

- Gdzie on jest?

- O to właśnie się pytam.

- Poszukam go.

- Dobry pomysł.

Odwróciłem się, przeszedłem przez furtkę i minąłem trawnik przed domem. Wieść o podwójnym morderstwie rozeszła się po małej osadzie i do sąsiadów dołączyli inni ciekawscy.

Zapstrykały skierowane w moją stronę aparaty i błysnęły flesze, oświetlając mnie na tle domu. Zaszumiały kamery, a reporterzy zaczęli wykrzykiwać swoje pytania. Przypomniały mi się stare dobre czasy. Zakryłem dłonią usta i zakaszlałem, na wypadek gdyby oglądali mnie członkowie komisji lekarskiej, nie mówiąc już o byłej żonie.

Z tylnego podwórka dołączył do mnie umundurowany policjant. Wsiedliśmy do oznakowanego samochodu policji gminy Southold i odjechaliśmy. Policjant oświadczył, że nazywa się Bob Johnson.

- Co pan o tym sądzi, detektywie? - zapytał.

- Zamordowano ich.

- Nie, poważnie. - Przez chwilę się wahał. - Myśli pan, że to miało coś wspólnego z Plum Island?

- Nie.

- Coś panu powiem. Widziałem wiele włamań, ale to nie było włamanie. To miało wyglądać jak włamanie, lecz w rzeczywistości ci ludzie szukali czegoś konkretnego.

- Nie zaglądałem do środka.

- Szukali bakterii - oświadczył Johnson, zerkając na mnie. - Bakterii. Broni

biologicznej. Takie jest moje zdanie. Mam rację?

Nie odpowiedziałem.

- Dlatego nigdzie nie ma aluminiowego pojemnika - kontynuował Johnson. - Słyszałem, jak pan o nim mówił.

Ponownie nie odpowiedziałem.

- W pojemniku były fiolki albo coś w tym rodzaju. Zgadza się? Jezu Chryste, mogło tam być dość tego świństwa, żeby zetrzeć z powierzchni ziemi całą Long Island... cały Nowy Jork.

Być może nawet całą planetę, Bob, w zależności od tego, jaka to była bakteria i ile można jej wyhodować z ukradzionej próbki.

Odwróciłem się do funkcjonariusza Johnsona i złapałem go za ramię, żeby skupił na mnie swoją uwagę.

- Niech pan nie waży się pisnąć o tym ani słowa - powiedziałem. - Nikomu! Rozumie pan?

Pokiwał głową.

W milczeniu dojechaliśmy do mojego domu.

3

Każdy potrzebuje miejsca, gdzie mógłby się zaszyć, przynajmniej faceci. Kiedy jestem w Nowym Jorku, przesiaduję na ogół w National Arts Club, popijając sherry z ludźmi o wysokiej kulturze i ogładzie. Mojej byłej żonie też trudno było w to uwierzyć.

Kiedy jestem tutaj, odwiedzam często Olde Towne Taverne, mimo że unikam na ogół miejsc, których nazwa kończy się na „e”. Myślę, że rząd powinien przyznać tysiąc niemych „e” całej Nowej Anglii oraz Long Island i gdy zostaną wszystkie wykorzystane, nikomu nie będzie wolno ich użyć. Tak czy inaczej Olde Towne Taverne leży w osadzie Mattituck, która ciągnie się na długość jednej przecznicy i jest naprawdę urocza. Sama knajpa też jest niczego sobie. Na szyldzie widnieje obrazek dawnego żaglowca, mimo że do morza jest mila z okładem. Ściany obito bardzo ciemnym drewnem, podłogę wyłożono dębowymi deskami, a najbardziej podobają mi się lampy z bursztynowego szkła, które wypełniają całe wnętrze ciepłym blaskiem i naprawdę potrafią stworzyć miły nastrój.

Siedziałem zatem w Olde Towne Taverne, zbliżała się dziesiąta wieczór, a poniedziałkowi goście oglądali mecz Dallas z Nowym Jorkiem na Meadowlands. Moje myśli skakały pomiędzy meczem, podwójnym morderstwem, tym, co jadłem, oraz kelnerką z wymodelowanym na siłowni tyłkiem.

Odziany byłem w elegancki strój wieczorowy składający się z brązowych dżinsów Levi'sa, niebieskiej koszulki polo Ralphi, autentycznych top-siderów Sperry'ego oraz bawełnianych kalesonek Hanesa. Wyglądałem, jakbym był chodzącą reklamą.

Siedziałem na stołku przy jednym z wysokich do piersi orzechowych stołów niedaleko baru, miałem dobry widok na telewizor, a przed sobą swój ulubiony posiłek: cheeseburgera, frytki, nadziewane boczkiem ziemniaki, nachos, skrzydełka kurczaka oraz budweisera; piękna kompozycja brązów i żółci.

Detektyw Penrose z policji hrabstwa Suffolk zakradła się od tyłu i zanim się zorientowałem, usiadła na stołku naprzeciwko z piwem w ręku, zasłaniając mi telewizor. Przyjrzała się mojej kolacji i zauważyłem, że uniosła brwi.

- Max powiedział, że mogę pana tu zastać - stwierdziła.
- Chce pani trochę frytek?
- Nie, dziękuję. - Przez chwilę się wahała. - Obawiam się, że poznaliśmy się w niefortunnych okolicznościach.
- Nonsens. Uwielbiam, kiedy celuje się do mnie z mojej własnej broni.
- Niech pan posłucha. Rozmawiałam z Maxem i pomyślałam... skoro gmina chce pana zatrudnić jako konsultanta, ja nie mam nic przeciwko. Jeśli ma pan jakieś uwagi, które pana zdaniem mogą okazać się użyteczne, niech się pan nie krępuje i dzwoni.

Wręczyła mi swoją wizytówkę, na której przeczytałem: „Detektyw Elizabeth Penrose, Wydział Zabójstw”. Pod spodem zamieszczony był jej adres służbowy, numer faksu, telefonu i tak dalej. Po lewej stronie wytłoczone było godło hrabstwa Suffolk z napisem „Wolny i niepodległy” wokół groźnie wyglądającego byka.

- Wcale do pani niepodobny - skomentowałem.

Przez chwilę wbijała we mnie wzrok, zaciskając szczęki. Jej nozdrza rozchyliły się i wzięła długi oddech. Nie dała się sprowokować, co było wspaniałe. Czasami bywam irytujący.

Pochyliłem się nad stołem i nasze nosy znalazły się w odległości piłki futbolowej. Miała zdrowy mydlany zapach.

- Posłuchaj, Elizabeth - oznajmiłem - oszczędźmy sobie tej gadki. Wiesz, że znałem Gordonów, byłem w ich domu i pływałem ich łodzią, że znałem ich przyjaciół i współpracowników i że rozmawiali zapewne ze mną o swojej pracy, ponieważ jestem gliniarzem. Przypuszczasz, że wiem o nich więcej niż ty i Max razem wzięci, i zapewne masz rację. Zdajesz sobie sprawę, że mi podpadłaś i Max jest na ciebie wściekły, w związku z czym przysłał tutaj, żeby mnie przeprosić i pozwolić, bym do ciebie zadzwonił i powiedział, co wiem. Kurczę! To dla mnie prawdziwy zaszczyt. Ale jeśli nie zadzwonię jutro albo pojutrze, będziesz musiała wezwać mnie na formalne przesłuchanie. Nie udawajmy więc, że jestem konsultantem, twoim partnerem, twoim kumplem albo skwapliwym informatorem. Powiedz mi po prostu, gdzie i kiedy chcesz odebrać ode mnie zeznanie.

Odchyliłem się do tyłu i skupiłem ponownie uwagę na frytkach. Detektyw Penrose przez chwilę milczała.

- Jutro w moim gabinecie - oświadczyła w końcu, stukając palcem w swoją wizytówkę - o dziewiątej rano. Niech pan się nie spóźni.

Wstała, odstawiła piwo i odeszła.

Nowojorczyki mieli piłkę na trzydziestym jardzie. Ten idiota quarterback cisnął ją pięćdziesiąt jardów w górę, pod cholerny wiatr, i piłka zawisła w powietrzu niczym balon Goodyeara. Trzej przechwytyjący i trzej zawodnicy Dallas stali pod nią, wymachując ramionami, jakby modlili się o deszcz albo coś w tym rodzaju.

- Przepraszam.

- Niech pani siada.

Usiadła, ale i tak nie zobaczyłem, kto złapał piłkę. Ludzie na stadionie i w Olde Towne Tavernie dostawali małego rozumu. „Spalony!”, wrzeszczeli faceci przy barze, ale sędzia nie podniósł żółtej chorągiewki i zawodnik Dallas przebiegł z piłką z powrotem na pięćdziesiąty jard. Obserwowałem nadawaną w zwolnionym tempie powtórkę. Nie było spalonego. Żałowałem, że nie mogę odegrać w zwolnionym tempie fragmentów mojego życia. Na przykład swojego małżeństwa, które było serią pomyłek.

- Jadę teraz na miejsce zbrodni - powiedziała. - Koło jedenastej ma się tam ze mną spotkać ktoś z Departamentu Rolnictwa. Przyjeżdża z Manhattanu. Chce mi pan towarzyszyć?

- Nie ma pani partnera, któremu mogłaby pani zawracać głowę?

- Jest na wakacjach. Zaczniemy wszystko od nowa, detektywie - oświadczyła, wyciągając do mnie rękę.

- Kiedy ostatnim razem podałem pani dłoń, straciłem pistolet i swoją męskość - przypomniałem jej.

Uśmiechnęła się.

- Niech pan nie marudzi.

Uścisnąłem jej rękę. Miała ciepłą skórę. Moje serce płonęło. A może to nachos były zbyt pikantne. Trudno powiedzieć po czterdziestce.

Przytrzymałem na moment jej dłoń i przyjrzałem się nieskazitelnym rysom twarzy. Nasze oczy spotkały się i obojgu nam przyszła do głowy ta sama nieprzyzwoita myśl. Ona pierwsza odwróciła wzrok. Ktoś musi to zrobić, w przeciwnym razie może to się źle skończyć.

Podeszła do nas zgrabna kelnerka i zamówiłem dwa piwa.

- W dalszym ciągu chce pan to chili? - zapytała mnie.

- Bardziej niż kiedykolwiek.

Uprzątnęła talerze i poszła po piwo i chili. Kocham ten kraj.

- Musi pan mieć żelazny żołądek - skomentowała detektyw Penrose.

- Właściwie po tym, jak mnie postrzelili, wycięto mi cały żołądek. Mój przełyk jest połączony bezpośrednio z jelitem grubym.

- Chce pan powiedzieć, że ma pan usta podłączone bezpośrednio do tyłka?

Uniosłem brwi.

- Przepraszam - powiedziała. - To było nieuprzejme. Czy możemy zacząć wszystko od początku?

- To nic nie da. Niech się pani odwróci i ogląda mecz.

Odwróciła się i przez jakiś czas oglądaliśmy mecz i popijaliśmy piwo. Po pierwszej połowie, która zakończyła się wynikiem 7 : 7, zerknęła na zegarek.

- Muszę się spotkać z tym facetem z Departamentu Rolnictwa - stwierdziła.

Jeśli dziwi was, co tu ma do rzeczy facet z Departamentu Rolnictwa, ośrodek na Plum Island podlega oficjalnie temu departamentowi i zajmuje się chorobami zwierzęcymi, wąglikiem i tak dalej. Ale wieść gminna głosi, że to nie wszystko. Zdecydowanie nie wszystko.

- Nie może pani kazać mu czekać - powiedziałem.

- Jedzie pan ze mną?

Kontemplowałem przez chwilę jej zaproszenie. Jeśli pojedę, wdepnę głębiej w całe to gówno. Z drugiej strony, lubię rozwiązywać takie sprawy i lubiłem Gordonów. W ciągu dziesięciu lat przepracowanych w wydziale zabójstw wsadziłem za kratki dwudziestu sześciu morderców. Dwaj ostatni mogą otrzymać przywróconą niedawno karę śmierci, co nadaje teraz całkiem nowy wymiar

śledztwu. Ale ta sprawa była trochę inną i znajdowałem się na obcym terytorium. Poza tym urzędnik Departamentu Rolnictwa, jak większość rządowych biurokratów, nie pracowałby do późnej nocy, więc facet był prawdopodobnie z CIA, FBI, wywiadu wojskowego czy podobnej instytucji. Nie miało to znaczenia; dziś w nocy albo jutro zjawi się tu ich więcej. Nie, nie powinienem się tym zajmować za dolara ani za tysiąc dolarów tygodniowo, ani w ogóle za żadną cenę.

- Detektywie? Jest pan tam?

Spojrzałem na nią. Jak można odmówić skończonej piękności?

- Spotkamy się w domu Gordonów - oświadczyłem.

- W porządku. Ile jestem panu winna za piwo?

- Ja płacę.

- Dziękuję. Do zobaczenia.

Ruszyła w stronę drzwi i teraz, gdy dobiegła końca pierwsza połowa meczu, około pięćdziesięciu obecnych w Olde Towne Tavernie samców dostrzegło wreszcie, że w lokalu pojawiła się superlaska. Rozległo się kilka gwizdnięć i zaproszeń do stolika.

Nie oglądałem zbyt uważnie drugiej połowy. Żałowałem, że nie wycięto mi rzeczywiście żołądka, ponieważ pompował teraz kwas na moje wrzody. Kelnerka podała chili, które z trudem udało mi się przełknąć. Zażyłem dwa zantaki, a potem jeden maalox, mimo że gastrolog uprzedzał, bym ich nie mieszał.

Moje zdrowie, niegdyś kwitnące, po tym, co wydarzyło się dwunastego kwietnia, zdecydowanie się pogorszyło. Nigdy dobrze się nie odżywiałem i nie wysypiałem, a ciężka praca i rozwód również zrobiły swoje. Czuję, że mam czterdzieści parę lat i jestem śmiertelny. Czasami we śnie wraca do mnie ten moment, kiedy leżałem w rynsztoku, myśląc: „Wiruję w rynsztoku, spływam w dół rynsztokiem”.

A przecież zaczynałem zauważać takie rzeczy, jak zgrabny tyłek kelnerki, a kiedy do baru weszła Elizabeth Penrose, mój mały umięśniony manekin siadł i rozprostował kości. Naprawdę wracałem do zdrowia i z pewnością byłem w lepszej formie niż Gordonowie.

Przez chwilę myślałem o Tomie i Judy. Tom, chociaż naukowiec, nie miał nic przeciwko temu, żeby od czasu do czasu zabić kilka szarych komórek, chlając wino i piwo. Piekł poza tym wspaniałe steki. Był twardo stąpającym po ziemi facetem z Indiany, Illinois albo innego miejsca, gdzie mają ten nosowy akcent. Nie robił świętości ze swojej pracy i kpił z wynikających z niej zagrożeń, tak jak w zeszłym tygodniu, kiedy zmierzał w naszą stronę huragan: „Jeśli uderzy w Plum Island, możemy nazwać go Huraganem Wąglika i pocałować się w dupę na pożegnanie”. Cha, cha, cha!

Judy, podobnie jak mąż, miała tytuł doktora i pochodziła ze Środkowego Zachodu. Była bezpretensjonalna, pogodna, pełna życia, wesola i piękna. John Corey durzył się w niej, zresztą jak każdy facet, który ją spotkał.

W ciągu dwuletniego pobytu na North Fork Judy i Tom najwyraźniej zaaklimatyzowali się w tej nadmorskiej prowincji. Lubili pływać motorówką i

zapisali się do Towarzystwa Historycznego Peconic. Poza tym oczarowały ich winnice i stali się koneserami produkowanego na Long Island wina. Zaprzyjaźnili się nawet z kilkoma miejscowymi właścicielami winnic, w tym z Fredrikiem Tobinem, który urządzał wystawne przyjęcia w swoim *château*. Uczestniczyłem w jednym z nich jako ich gość.

Gordonowie sprawiali wrażenie szczęśliwej, kochającej się, czułej pary utrzymującej partnerskie (w stylu lat dziewięćdziesiątych) stosunki i naprawdę nie zauważyłem, żeby coś było między nimi nie tak. Choć nie znaczy to oczywiście, że byli idealni albo tworzyli idealną parę.

Szperałem w pamięci, szukając jakiegoś fatalnego pęknięcia, powodu, dla którego ludzie padają czasem ofiarą morderstwa. Narkotyki? Raczej nie. Niewierność? Możliwe, ale mało prawdopodobne. Pieniądze? Nie mieli dużo do ukradzenia. Wracał zatem motyw ich pracy.

Zacząłem się nad tym zastanawiać. Na pierwszy rzut oka mogło to wyglądać mniej więcej tak: Gordonowie chcieli opchnąć komuś supergroźne zarazki, coś poszło źle i zginęli. Podążając tym tropem, przypomniałem sobie, jak Tom zwierzał mi się kiedyś, że oprócz zarażenia się najbardziej się boi, że on i Judy zostaną któregoś dnia porwani ze swojej łodzi, że z wody wynurzy się irański okręt podwodny albo coś w tym rodzaju, wciągną ich pod pokład i zaginie o nich wszelki śluch. Te obawy wydały mi się trochę przesadzone, ale pamiętam, że przyszło mi wówczas do głowy, iż Gordonowie muszą wiedzieć mnóstwo rzeczy, którymi interesują się pewni ludzie. Więc może morderstwo zaczęło się od próby porwania, która się nie udała. A jeśli ponieśli śmierć w związku z wykonywaną pracą, czy byli tylko niewinnymi ofiarami, czy też zdrajcami, którzy sprzedawali za złoto śmiertelne zarazki?

Głowiłem się nad tym na tyle, na ile pozwalały mi panujący w Olde Towne Taverne hałas, telewizja, wypite piwo i nadkwasota. Wypiłem kolejne piwo i połknąłem kolejny maalox. Doktor od gastrologii nigdy nie powiedział mi, dlaczego nie powinienem mieszać.

Próbowałem wyobrazić sobie coś, co było niewyobrażalne: przystojnego szczęśliwego Toma i piękną, tryskającą energią Judy sprzedających zarazki jakimś czubkom; zbiorniki wodne skażone chorobą albo bakterie rozsiewane z samolotu nad Nowym Jorkiem lub Waszyngtonem – miliony chorych, konających i martwych.

Nie wierzyłem, żeby Gordonowie mogli to zrobić. Z drugiej strony każdy ma swoją cenę. Już wcześniej dziwiło mnie, skąd wzięli forszę na wynajęcie domu nad samą wodą i tę drogą łódź. Teraz być może wiedziałem, po co była im potrzebna szybka motorówka i dom z własną przystanią. Wszystko to układało się w logiczną całość, ale intuicja podpowiadała mi, bym nie wierzył w to, co wydawało się oczywiste.

Dałem zdecydowanie za duży napiwek kelnerce z bajecznym tyłkiem i wróciłem na miejsce przestępstwa.

4

Było już dobrze po jedenastej, kiedy skręciłem w alejkę prowadzącą do domu Gordonów. Księżyc w trzeciej kwadrze rozświetlał mrok. Przyjemna bryza niosła zapach morza przez otwarte szyby mojego nowego zielonego jeepa grand cherokee limited, wartego czterdzieści tysięcy luksusowego cacka, które, zdaniem cudem ocalonego Johna Coreya, należało mu się od losu.

Zatrzymałem się pięćdziesiąt jardów od domu, przeczuciłem dźwignię automatycznej skrzyni biegów na parkowanie, przez kilka minut słuchałem relacji z meczu Gigantów z Dallas, po czym zgasłem silnik.

- Masz zapalone przednie światła - usłyszałem głos.

- Zamknij się. Po prostu się zamknij - warknąłem, po czym wyłączyłem przednie światła.

W życiu istnieje wiele opcji, w żadnym wypadku jednak nie powinno się wybierać „udzielanych głosem ostrzeżeń i porad”.

Otworzyłem drzwi.

- Twój kluczyk jest w stacyjce. Nie zaciągnąłeś ręcznego hamulca.

Głos był kobiecy i przysięgam na Boga, że brzmiał zupełnie jak głos mojej byłej żony.

- Dziękuję, kochanie.

Wyjąłem kluczyki, wysiadłem i zatrzasnąłem drzwi.

Liczba stojących na małej uliczce pojazdów i ludzi znacznie się zmniejszyła i domyśliłem się, że zwłoki wywieziono. Tak już jest, że przybycie karawanu satysfakcjonuje większość widzów i sygnalizuje koniec aktu pierwszego. Poza tym wszyscy chcieli obejrzeć się w wiadomościach o jedenastej.

W porównaniu z moją pierwszą wizytą siły policyjne zostały wzmocnione: przed domem, obok furgonetki ekipy kryminalistycznej, stała zaparkowana furgonetka policji z Suffolk. Nowy pojazd był ruchomym punktem dowodzenia, który może pomieścić oficerów dochodzeniowych, radio, faksy, telefony komórkowe, sprzęt wideo oraz inne technologiczne nowinki, tworzące arsenał nigdy niekończącej się walki z przestępczością.

Nad głową zauważyłem helikopter i w świetle księżyca udało mi się spostrzec, że należy do jednej ze stacji telewizyjnych. Nie słyszałem głosu reportera, ale prawdopodobnie informował o tym, że „dziś wieczór w tej ekskluzywnej miejscowości na Long Island wydarzyła się tragedia”. Potem kilka słów o Plum Island i tak dalej.

Przecisnąłem się przez ostatnich gapiów, unikając osób, które wyglądały na reporterów. Przeskoczyłem żółtą taśmę i to natychmiast zwróciło na mnie uwagę gliniarza z Southold. Machnąłem mu przed oczyma odznaką i niedbale mi

zasalutował.

Umundurowany protokolant podszedł do mnie z notatnikiem i ponownie, zgodnie z tym, czego się domagał, powiedziałem mu, jak się nazywam, co mnie tu sprowadza i tak dalej. Należy to do standardowej procedury i odbywa się aż do zakończenia śledztwa; od pierwszego funkcjonariusza, który pojawił się na miejscu przestępstwa, aż do chwili, kiedy opuszcza je ostatni policjant i teren przekazuje się z powrotem właścicielowi. Tak czy owak odnotowali mnie teraz dwa razy i wdepnąłem głębiej w to gówno.

- Ma pan wpisanego faceta z Departamentu Rolnictwa? - zapytałem mundurowego.

- Nie - odparł, nie patrząc nawet na kartkę.

- Ale jest tutaj facet z Departamentu Rolnictwa. Zgadza się?

- Będzie pan musiał zapytać szefa Maxwella.

- Pytam pana, dlaczego go pan nie wpisał.

- Będzie pan musiał zapytać szefa Maxwella.

- Zapytam go.

W gruncie rzeczy znałem odpowiedź. Nie nazywają tych facetów wilkołakami bez powodu.

Obszedłem dom i znalazłem się na tarasie. W miejscach, gdzie jeszcze niedawno leżeli Gordonowie, zostały dwa kredowe obrysy, sprawiające bardzo upiorne wrażenie w świetle księżycy. Duża plastikowa płachta zasłaniała plamę, gdzie wyciekło z nich życie.

Biorąc to pod uwagę, dziękowałem Bogu, że mordu dokonano na świeżym powietrzu i wokół nie unosi się zapach śmierci. Nienawidzę wracać na miejsce zabójstwa popełnionego w pomieszczeniu, gdzie wciąż czuć ten zapach. Dlaczego nie mogę pozbyć się go z pamięci? Z nozdrzy? Z podniebienia? Dlaczego tak jest?

Dwóch umundurowanych policjantów z Southold siedziało na okrągłym patio, popijając parującą kawę ze styropianowych kubków. W jednym z nich rozpoznałem funkcjonariusza Johnsona, który był na tyle uprzejmy, że odwiózł mnie do domu i któremu zamiast podziękować, załazłem nieco za skórę. Świat jest podły, wiadomo, a ja jestem jednym z facetów, którzy go takim czynią. Funkcjonariusz Johnson zmierzył mnie nieprzyjemnym spojrzeniem.

Niżej, koło przystani, zauważyłem kolejną sylwetkę w mundurze i ucieszyłem się, że ktoś wziął sobie do serca moją radę, żeby postawić strażnika przy łodzi.

Poza tym na dworze nie było nikogo, w związku z czym wszedłem przez przesuwane szklane drzwi do dużego salonu połączonego z jadalnią. Byłem tu już oczywiście wcześniej i pamiętałem, jak Judy mówiła, że większość mebli należy do właściciela i utrzymana jest, jak to określiła, w skandynawskim stylu rodem z Tajwanu.

Kręciło się tu jeszcze kilka osób z ekipy zabezpieczającej ślady.

- Szef Maxwell? - zapytałem jedną z nich, miłą panią od odcisków palców.

- W kuchni - odparła, wskazując kciukiem za ramię. - Niech pan niczego nie dotyka po drodze.

- Tak jest, proszę pani.

Przefrunąłem nad berberyjskim dywanem i wylądowałem w kuchni, gdzie odbywała się właśnie mała konferencja. Obecni byli: Max reprezentujący suwerenną gminę Southold, Elizabeth reprezentująca wolne i niepodległe hrabstwo Suffolk, dżentelmen w ciemnym garniturze, który nie potrzebował znaczka FBI w klapie, oraz kolejny dżentelmen, odziany bardziej swobodnie w dżinsową marynarkę i spodnie, krwiście czerwoną koszulę i traperskie buty - karykatura tego, jak powinien wyglądać biurokrata z Departamentu Rolnictwa, gdyby kiedykolwiek opuścił swój gabinet i musiał odwiedzić jakąś farmę.

Wszyscy stali, jakby chcieli sprawić wrażenie ludzi niemających czasu do stracenia. Na blacie ustawiono karton wypełniony styropianowymi kubkami z kawą i każdy trzymał taki kubek w ręku. To, że cała grupa nie zebrała się w ruchomym punkcie dowodzenia, lecz wolała obradować w ukryciu w kuchni, było bardzo interesujące i znaczące.

Max wystroił się na spotkanie z federalnymi i prasą i zawiązał głupawy jedwabny krawat ozdobiony flagami morskimi. Elizabeth miała na sobie tę samą brązową spódnicę, ale zdjęła żakiet, odsłaniając tkwiącą w kaburze trzydziestkęósemkę i dwie sterczące w kaburach czwórki B.

Na blacie stał mały czarno-biały telewizor, nastawiony na jedną z wielkich sieci, z przyciszoną fonią. Pokazywano właśnie wizytę prezydenta w jakimś dziwnym miejscu, gdzie wszyscy ludzie byli niskiego wzrostu.

- To detektyw John Corey z wydziału zabójstw - powiedział Max do dwóch facetów, nie informując ich, że moja jurysdykcja zaczyna się i kończy mniej więcej sto mil na zachód od tego miejsca. - John, to jest George Foster z FBI, a to Ted Nash z Departamentu Rolnictwa - dodał wskazując kolejno ciemny garnitur i niebieskie dżinsy.

Uścisnęliśmy sobie wszyscy ręce.

- Giganci zdobyli punkt w pierwszej minucie trzeciej kwarty - poinformowałem Elizabeth Penrose.

Nie odpowiedziała.

- Może kawy? - zapytał Max, wskazując karton z kubkami.

- Nie, dziękuję.

Pani Penrose, która znajdowała się najbliżej telewizora, usłyszała coś w wiadomościach i zrobiła głośniejsze.

Przed domem Gordonów stała reporterka. Umknął nam jej wstęp.

„Ofiarami podwójnego morderstwa są naukowcy, którzy pracowali w ściśle tajnym rządowym laboratorium chorób zwierzęcych na Plum Island, kilka mil stąd” - mówiła.

Zobaczyliśmy Plum Island z wysokości około dwóch tysięcy stóp. Był jasny dzień,

więc zdjęcie musiało pochodzić z archiwum. Z góry wyspa wyglądała jak schabowy z kością i domyślałam się, że jeśli macie ochotę poironizować na temat pomoru świń... Tak czy inaczej, Plum ma mniej więcej trzy mile w najdłuższym i milę w najszerszym miejscu.

„Tak właśnie wyglądała wyspa – mówiła zza kadru reporterka – kiedy robiliśmy program w związku z powtarzaniem uparcie plotkami, że prowadzone są tutaj badania nad bronią biologiczną”.

Mimo okrągłych zdań reporterka miała rację co do plotek. Przypomniałem sobie satyryczny rysunek w „Wall Street Journal”, na którym szkolny doradca od spraw zatrudnienia mówi rodzicom: „Wasz syn jest złośliwy, podły, nieuczciwy i rozsiewa plotki. Z pewnością zrobi karierę jako dziennikarz”. Święta racja. A plotki mogą doprowadzić do wybuchu paniki. Uświadomiłem sobie, że ta sprawa powinna zostać czym prędzej wyjaśniona.

Na ekranie znowu zobaczyliśmy stojącą przed domem Gordonów reporterkę.

„Nikt nie twierdzi, że zamordowanie Gordonów miało jakiś związek z ich pracą, ale policja prowadzi intensywne śledztwo” – poinformowała nas.

Z powrotem do studia.

Pani Penrose ściszyła fonię.

– Czy FBI chce się publicznie włączyć do śledztwa? – zapytała pana Fostera.

– Nie w tym momencie – odparł. – Ludzie mogliby pomyśleć, że mamy do czynienia z poważnym problemem.

– Departament Rolnictwa oficjalnie nie interesuje się sprawą – oznajmił pan Nash – śmierć Gordonów nie ma bowiem związku z ich pracą. Departament nie wyda żadnego publicznego oświadczenia, z wyjątkiem wyrazów żalu z powodu śmierci dwojga lubianych i oddanych pracowników.

Amen.

– Swoją drogą zapomniał pan się wpisać przy wejściu – poinformowałem pana Nasha.

Spojrzał na mnie, lekko zaskoczony i bardzo poirytowany.

– Będę... dziękuję, że mi pan przypomniał.

– Może pan na mnie liczyć. Zawsze.

Przez jakąś minutę trwała pogawędka na temat publicznych aspektów sprawy.

– Detektyw Corey znał zmarłych – wspomniał Max, zwracając się do panów Nasha i Fostera.

Pan z FBI natychmiast się mną zainteresował.

– Jak dobrze pan ich znał? – zapytał.

Nie jest wskazane od razu odpowiadać na pytania; ludzie dochodzą wtedy do wniosku, że mają do czynienia z kimś skorym do współpracy.

– Detektyw Corey przyjaźnił się z Gordonami od jakichś trzech miesięcy – wyjaśnił za mnie Max. – Ja znam Johna od mniej więcej dziesięciu lat.

Foster pokiwał głową. Najwyraźniej miał do mnie więcej pytań i kiedy zastanawiał się, czy je zadać, głos zabrała pani Penrose.

- Detektyw Corey pisze raport, w którym umieści wszystko, co wie na temat Gordonów - oznajmiła. - Kiedy będzie gotowy, przekażę jego treść wszystkim zainteresowanym agencjom.

To było dla mnie coś nowego.

Pan Nash przyglądał mi się, opierając o kuchenny blat. Mierzyliśmy się wzrokiem, dwa dominujące samce w jednej zagrodzie, i doszliśmy bez słowa do wniosku, że nie lubimy się wzajemnie i jeden z nas będzie mu się chciał uciec z podkulonym ogonem. Powietrze było tak gęste od testosteronu, że zaczynał skraplać się na tapecie.

- Czy ustaliliśmy już, że to nie jest zwykłe zabójstwo? - zapytałem, zwracając się do Maxa i pani Penrose. - Dlatego mamy tutaj przedstawicieli agencji federalnych?

Nikt nie odpowiedział.

- Czy też po prostu zakładamy, że to coś więcej? - podjąłem. - Może nie brałem udziału w jakiejś ważnej naradzie?

- Dmuchamy na zimne, detektywie - oświadczył chłodno pan Ted Nash. - Nie mamy żadnych konkretnych dowodów wskazujących, że te morderstwa mają związek ze sprawami... mówiąc bez ogródek, ze sprawami bezpieczeństwa narodowego.

- Nigdy nie sądziłem, że Departament Rolnictwa zajmuje się sprawami bezpieczeństwa narodowego - stwierdziłem. - Macie krowy, które występują w roli tajnych agentów?

Pan Nash posłał mi miły uśmiech. Możesz mi naskoczyć, mówiły jego oczy.

- Mamy wilki w owczej skórze - powiedział.

- *Touché* - odparłem. Głupi kutas.

- Jesteśmy tutaj na wszelki wypadek, detektywie - wtrącił pan Foster, nim atmosfera zrobiła się bardziej nieprzyjemna. - Byłoby z naszej strony karygodnym zaniedbaniem, gdybyśmy tego nie sprawdzili. Wszyscy mamy nadzieję, że te morderstwa nie mają nic wspólnego z Plum Island.

Zmierzyłem wzrokiem pana Fostera. Był gładko ostrzyżonym, jasnookim agentem koło trzydziestki, roztaczającym typową dla FBI aurę, i ubranym w typowy dla tej agencji ciemny garnitur, białą koszulę, stonowany krawat oraz czarne toporne buty.

Następnie skupiłem ponownie uwagę na Tedzie Nashu, odzianym we wspomniany wyżej dżinsowy kostium. Bliższy mi wiekiem i opalony, miał kręcone szpakowate włosy, niebieskoszare oczy i imponującą posturę, był jednym słowem facetem, którego panie określają mianem przystojniaka, co stanowiło, jak sądzę, jedną z przyczyn, dla których poczułem do niego antypatię. Ilu przystojniaków może przebywać w jednym pomieszczeniu?

Byłbym dla niego uprzejmiejszy, gdyby nie rzucał Elizabeth Penrose czułych

spojrzeń, które ta odwzajemniała. Nie chcę powiedzieć, że się do siebie migdalili; zerkali sobie po prostu w oczy, jak gdyby nigdy nic, ale tylko ślepiec by nie zgadł, jakie brudne myśli chodziły im po głowach. Rany boskie, cała chrzaniona ludzkość miała wkrótce zarazić się wąglikiem i skonać w dzikich mękach, a tych dwoje zachowywało się jak psy w rui, dymając się wzrokiem, podczas gdy mieliśmy na głowie ważniejsze sprawy. Naprawdę obrzydliwe.

- Nie odnaleźliśmy jeszcze dwóch pocisków, którymi ich postrzelono - oznajmił Max, przerywając moje rozważania - ale przypuszczamy, że wpadły do zatoki. Jutro z samego rana zaczniemy poszukiwania z udziałem nurków. Nie odnaleźliśmy również łusek - dodał.

Pokiwałem głową. Samopowtarzalny pistolet wypłukał łuski, rewolwer nie. Jeśli zabójca posługiwał się pistoletem, w takim razie miał dość zimnej krwi, żeby pochylić się i podnieść łuski z ziemi.

Jak na razie nie mieliśmy w zasadzie nic. Dwa strzały w głowę, żadnych pocisków, żadnych łusek, żadnego hałasu, który słyszeli sąsiedzi.

Przyjrzałem się ponownie panu Nashowi. Miał zmartwioną minę i cieszyłem się, że w przerwach między dymaniem w myślach pani Penrose troskał się o los planety. W gruncie rzeczy wszyscy w kuchni wydawali się zatopieni w rozmyślaniach. Zastanawiali się pewnie, czy nie obudzą się nazajutrz z czerwoną wysypką.

- Napijesz się jeszcze kawy, Beth? - zapytał Ted Nash, sięgając do kartonu z kubkami.

Beth? Co to ma znaczyć, do diabła?

- Nie, dziękuję - odparła z uśmiechem pani Penrose.

Mój żołądek wrócił do normy, w związku z czym otworzyłem lodówkę, żeby napić się piwa. Półki były prawie puste.

- Kazałeś stąd zabrać rzeczy, Max? - zapytałem.

- Chłopcy z laboratorium wzięli wszystko, co nie było fabrycznie zapieczętowane.

- Czy ktoś ma ochotę na piwo? - zapytałem.

Nikt nie odpowiedział, wziąłem więc puszkę coors light, otworzyłem ją i pociągnąłem łyka.

Zauważyłem, że wszyscy czworo utkwili we mnie oczy, jakby oczekiwali, że coś się zaraz wydarzy. Ludzie reagują dziwnie, gdy znajdują się w skażonym środowisku. Miałem ochotę złapać się za gardło, paść na podłogę i zacząć wić się w konwulsjach. Nie byłem jednak w towarzystwie moich kumpli z Manhattan North, którzy za dobry dowcip sprzedaliby własną matkę, w związku z czym nie skorzystałem z okazji, żeby rozładować ponurą atmosferę.

- Proszę, mów dalej - zwróciłem się do Maxa.

- Przeczesałiśmy cały dom - oświadczył - i nie trafiliśmy na nic nadzwyczajnego. Połowa szuflad była nieruszona, w kilku szafach w ogóle raczej nikt nie myszkował, książek nie porzucano z półek. Jeśli ktoś chciał upozorować włamanie, zrobił to

wyjatkowo po amatorsku.

- To nie wyklucza, że mamy do czynienia z ćpunem, pobudzonym i niezbyt skoncentrowanym - stwierdziłem. - Możliwe też, że sprawcy przeszkodzono albo że szukał jakiejś jednej konkretnej rzeczy i ją znalazł.

- Możliwe - zgodził się Max.

Wszyscy zrobili mądre miny, co doskonale maskuje brak pomysłów.

W tym morderstwie uderzające było to, że doszło do niego od razu na tarasie. Trach, trach, bez żadnych zbędnych wstępów. Zabójca nie chciał od Gordonów niczego poza tym, żeby byli martwi. Jeśli tak, to albo znalazł w domu to, czego potrzebował, albo zobaczył, że Gordonowie niosą tę rzecz ze sobą. Wracaliśmy do brakującego pojemnika.

Zabójca znał Gordonów, oni znali jego. Byłem o tym przekonany. Cześć, Tom. Cześć, Judy. Trach, trach. Gordonowie padają, pojemnik leci z rąk Toma na ziemię... nie, w środku są fiołki z zabójczym wirusem. Cześć, Tom. Cześć, Judy. Postawcie ten pojemnik na ziemi. Trach, trach. Gordonowie padają. Kule przeszywają ich głowy i wpadają do zatoki.

Poza tym musiał mieć tłumik. Żaden profesjonalista nie zastrzeliłby bez niego dwóch osób na dworze. I najprawdopodobniej był to pistolet, bo ciężko dorobić tłumik do rewolweru.

- Czy państwo Murphy mają psa? - zapytałem Maxa.

- Nie.

- Okej... Czy znaleźliście przy ofiarach jakieś pieniądze, portfele, cokolwiek?

- Owszem. Oboje mieli podobne sportowe portfele, a w nich przepustki na Plum Island, prawa jazdy, karty kredytowe i tak dalej. Tom miał trzydzieści siedem dolarów w gotówce, Judy czternaście. Każde miało w portfelu zdjęcie drugiego - dodał.

Czasami jakiś drobny szczegół sprowadza całą rzecz na ziemię, czyni ją osobistą. Z drugiej strony trzeba pamiętać o podstawowej zasadzie: nie wolno angażować się emocjonalnie. Nie jest ważne, Corey, czy zabity został mały dzieciak, miła starsza pani, śliczna Judy, która puściła do ciebie raz oko, czy Tom, który chciał, żebyś pokochał wino, tak jak on je pokochał, i który usmażył ci stek dokładnie tak, jak trzeba. Dla faceta z wydziału zabójstw nie ma znaczenia, kto zginął; ważne jest to, kto zabił.

- Domyślasz się chyba, że nie znaleźliśmy tego aluminiowego pojemnika - stwierdził Max. - Jesteś pewien, że go mieli?

Pokiwałem głową.

- Naszym zdaniem Gordonowie nieśli pojemnik - przedstawił mi swoją wyważoną opinię pan Foster. - Zabójca bądź zabójcy chcieli zabrać to, co znajdowało się w środku, a w środku znajdowało się to, o czym dobrze wiemy. Według mnie Gordonowie chcieli sprzedać towar i coś poszło nie tak.

Przyjrzałem się uczestnikom kuchennego posiedzenia. Niełatwo jest odczytać

coś z twarzy ludzi, którzy profesjonalnie zajmują się czytaniem z twarzy. Mimo to miałem wrażenie, że wszyscy podzielają zdanie George'a Fostera.

Gdyby mieli rację, wynikałyby z tego dwie rzeczy: po pierwsze, że Gordonowie byli naprawdę głupi, skoro nie wzięli pod uwagę, iż ktoś, kto chce kupić wirusy i bakterie wystarczające do tego, by zabić kwadrylion ludzi, może również bez żadnych skrupułów zabić ich oboje; oraz po drugie, że były im absolutnie obojętne konsekwencje takiej transakcji. Tymczasem Tom i Judy – to jedno wiedziałem na pewno – nie byli ani głupi, ani bezwzględni.

Moim zdaniem zabójca również nie należał do głupich i zastanawiałem się, czy wiedział bądź też się domyślał, że w pojemniku jest to, czego potrzebował. Cześć, Tom. Cześć, Judy. Macie wirusa? To dobrze. Trach, trach.

Tak? Nie? Rozwazałem różne scenariusze, z aluminiowym pojemnikiem i bez pojemnika, z zabójcą, którego znali Gordonowie, i z zabójcą, którego nie znali. Poza tym jak zabójca bądź też zabójcy dostali się do domu Gordonów? Łodzią? Samochodem?

- Jakież obce pojazdy? – zapytałem Maxa.

- Nikt, kogo pytaliśmy, nie widział w okolicy obcych pojazdów. Oba samochody Gordonów stoją w garażu. Jutro zostaną zabrane do laboratorium razem z ich łodzią.

- Możliwe, że zabójca bądź też zabójcy przyплыли łodzią. Tak myślę – oznajmiła pani Penrose, zwracając się po raz pierwszy bezpośrednio do mnie.

- Możliwe również, Elizabeth – odparłem – że zabójca przybył do domu Gordonów jednym z ich samochodów, który wcześniej pożyczył. Naprawdę uważam, że się znali.

Przez chwilę mi się przyglądała.

- Moim zdaniem to była łódź, detektywie Corey – stwierdziła trochę obcesowo.

- Być może zabójca przyszedł tu piechotą albo przyjechał rowerem lub motorem – kontynuowałem. – Może przyплыł wpływ albo ktoś go podwiózł. Może przyплыł na desce albo przyfrunął lotnią. Zabójcami mogą też być Edgar Murphy z żoną.

Pani Penrose spiorunowała mnie wzrokiem i widziałem, że jest wkurzona. Znałem to spojrzenie. Byłem kiedyś żonaty.

- Jest jeszcze jedna rzecz – wtrącił Max, przerywając naszą dyskusję. – Według ochroniarzy na Plum Island Gordonowie wyszli z pracy w południe, wsiedli do łodzi i wypłynęli.

W ciszy, jaka zapadła, słychać było mruczenie lodówki.

- Jedyne, co przychodzi mi do głowy – oznajmił pan Foster – to przypuszczenie, że Gordonowie ukryli towar, który chcieli sprzedać, w jakiejś zatoczce na Plum Island i popłynęli tam łodzią. A może po prostu wyszli z laboratorium z tym pojemnikiem, zabrali go ze sobą i odpłynęli. W obu wypadkach spotkali się następnie ze swoimi klientami na morzu i przekazali im fiolki. Wracając do domu, nie mieli pojemnika, ale mieli pieniądze. Morderca czekał tutaj i po zabiciu ich

odebrał z powrotem forszę.

Wszyscy rozważaliśmy przez moment ten scenariusz. Oczywiście cisnęło się na usta pytanie, dlaczego, skoro do transakcji doszło na morzu, nie popełniono tam również zabójstwa. Kiedy gliniarze z wydziału zabójstw mówią o morderstwie doskonałym, mają na myśli morderstwo popełnione na morzu: mało dowodów rzeczowych albo kompletny ich brak, żadnego hałasu ani świadków i na ogół brak ciała. A jeśli zrobi się to umiejętnie, zabójstwo wygląda na wypadek.

Profesjoniści, którzy właśnie weszli w posiadanie śmiertelnościanego zarazka, nie powinni ściągać na siebie uwagi, zabijając dwoje pracowników Plum Island na ich własnym tarasie. Z drugiej strony miało to wyglądać na włamanie, w trakcie którego Gordonowie zaskoczyli złodzieja. Ktokolwiek to upozorował, nie zrobił tego zbyt przekonująco. Cała robota miała w sobie coś z amatorszczyzny. Może sprawcami byli cudzoziemcy, którzy nie obejrżeli w telewizji zbyt wielu amerykańskich filmów policyjnych. Albo jeszcze ktoś inny.

I co działo się w ciągu tych pięciu i pół godziny między południem, kiedy Gordonowie wypłynęli z Plum Island, i wpół do szóstej, kiedy pan Murphy usłyszał, jak twierdzi, ich łódź? Gdzie wtedy byli?

- To wszystko, czym w tej chwili dysponujemy - powiedział Max. - Jutro będziemy mieli wyniki z laboratorium. Są też ludzie, z którymi musimy porozmawiać. Czy znasz kogoś, z kim powinniśmy się spotkać? Jakichś znajomych Gordonów?

- Nie mam pojęcia, z kim się przyjaźnili. Z tego, co wiem, nie mieli żadnych wrogów. Chciałbym porozmawiać z pracownikami ośrodka na Plum Island - dodałem, zwracając się do pana Nasha.

- Być może będzie pan mógł porozmawiać z kilkoma pracownikami - odpowiedział. - Bezpieczeństwo narodowe wymaga jednak, bym asystował przy tych rozmowach.

- Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa, pamięta pan? - odparłem swoim najmniej sympatycznym nowojorskim tonem. - Więc niech mi pan nie wciska głupot.

W kuchni powiało chłodem. Zdarza mi się pracować z typami z FBI i Agencji do Spraw Narkotyków i nic do nich nie mam - w końcu to też gliniarze. Jednak palanty w rodzaju Nasha są prawdziwym utrapieniem. Facet nie powiedział nawet, czy jest z CIA, wywiadu wojskowego czy jakiejś innej dziwnej firmy. Jedno wiedziałem na pewno: nie pracował w Departamencie Rolnictwa.

- Nie mam nic przeciwko obecności Teda Nasha w trakcie przesłuchań - odezwał się Max, po czym zerknął na panią Penrose, wczuwając się, jak przypuszczam, w rolę gospodarza tego spotkania na wysokim szczeblu.

Moja kumpelka Beth posłała mi szybkie spojrzenie.

- Ja też nie mam nic przeciwko - poinformowała Nasha, który dymał ją wzrokiem.

- W rozmowach, przesłuchaniach oraz sesjach roboczych, w których będzie uczestniczył Ted, weźmie również udział przedstawiciel FBI - zaznaczył George

Foster.

Naprawdę zaczynało mnie to wkurzać i zastanawiałem się, czy Max nie zrezygnuje zaraz z moich usług.

- Ja zajmuję się wewnętrznym terroryzmem - kontynuował rozsądny pan Foster.
- W sferze zainteresowań Teda Nasha mieści się międzynarodowe szpiegostwo. Wy - tu spojrział na mnie, Maxa i panią Penrose - prowadzicie śledztwo w sprawie morderstwa, opierając się na prawach obowiązujących w stanie Nowy Jork. Jeśli nie będziemy sobie wzajemnie wchodzić w drogę, wszystko będzie w porządku. Ja nie będę udawał detektywa wydziału zabójstw, a wy nie będziecie bawili się w obrońców wolnego świata. Czy to uczciwe? Logiczne? Wykonalne? Absolutnie.

- Dla kogo pan pracuje? - zapytałem bez ogródek Nasha.

- W tym momencie nie jestem upoważniony, żeby o tym mówić. W każdym razie nie dla Departamentu Rolnictwa - dodał.

- Dałem się nabrać - mruknąłem zgryźliwie. - Sprytni z was faceci.

- Czy możemy porozmawiać na osobności, detektywie Corey? - odezwała się Penrose.

Zignorowałem ją i przypierałem dalej do muru pana Nasha. Musiałem zdobyć wszystkie punkty i wiedziałem, jak to zrobić.

- Chcemy popłynąć teraz na Plum Island - powiedziałem.

Zrobił zdziwioną minę.

- Teraz? Nie chodzą o tej porze żadne promy...

- Nie potrzebuję rządowego promu. Popłyniemy policyjną łodzią Maxa.

- To wykluczone - stwierdził Nash.

- A to dlaczego?

- Wstęp na wyspę jest wzbroniony.

- Popełniono podwójne morderstwo - przypomniałem mu. - Czy nie uzgodniliśmy przed chwilą, że komendant Maxwell, detektyw Penrose i ja prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa?

- Nie prowadzicie go na Plum Island.

- Owszem, prowadzimy.

Uwielbiam takie przepychanki. Naprawdę. Miałem nadzieję, że Penrose widzi, jaki to palant.

- W tej chwili nikogo tam nie ma - stwierdził pan Nash.

- Są tam ludzie z ochrony i to z nimi chcę porozmawiać. Teraz - odparłem.

- Rano i nie na terenie wyspy.

- Teraz i na terenie wyspy, albo wyrwę sędziego z łóżka i załatwię nakaz przeszukania.

- Jest bardzo mało prawdopodobne, aby lokalny sędzia wydał nakaz przeszukania terenu, który należy do rządu. Będzie pan musiał się z tym zwrócić do

zastępcy prokuratora Stanów Zjednoczonych oraz sędziego federalnego. A zdaje pan sobie chyba sprawę, że ani prokurator Stanów Zjednoczonych, ani sędzia federalny nie będą się kwapili z wydaniem takiego nakazu detektywowi z wydziału zabójstw, zwłaszcza że sprawa dotyczy bezpieczeństwa narodowego. Więc niech pan nie blefuje i się nie stawia.

- Może powinienem zacząć sypać pogroźkami?

Max miał już chyba też dosyć pana Nasha, z którego wilczego grzbietu ześlizgiwała się owcza skóra.

- Plum Island może i należy do rządu federalnego, ale stanowi również część gminy Southold, hrabstwa Suffolk oraz stanu Nowy Jork. Chcę, żeby pan załatwił dla nas na jutro zgodę na odwiedzenie wyspy. W przeciwnym razie postaram się o nakaz sądowy.

- Naprawdę nie ma potrzeby odwiedzać wyspy, komendancie - odparł pan Nash, zmieniając ton na bardziej pojednawczy.

Detektyw Penrose stanęła oczywiście po mojej stronie.

- Będziemy nalegać, Ted - poinformowała swego nowego przyjaciela.

Ted? Spóźniając się, naprawdę straciłem jakiś interesujący wątek.

Ted i Beth spojrzeli na siebie, dwie udręczone dusze, rozdarte między rywalizacją i rycerskością.

- Dobrze... zatelefonuję w tej sprawie - stwierdził w końcu pan Ted Nash z Centralnej Agencji do Spraw Zwalczania Zarazków.

Pan Foster nie byłby sobą, gdyby nie wbił w tym momencie szpili panu Nashowi.

- Myślę, że wszyscy jesteśmy zgodni, że płyniemy tam jutro rano, Ted - oznajmił.

Pan Nash pokiwał głową. Przestał już trzepotać rzęsami do Beth Penrose i przeniósł swoje gorące uczucia na mnie.

- Jeśli uznamy, że popełnione zostało przestępstwo federalne, nie będziemy prawdopodobnie potrzebować dłużej pańskich usług, detektywie Corey - powiedział, wbijając we mnie wzrok.

Mały Teddy uciekał się do drobnych złośliwości i wiedziałem, że mogę teraz bezpiecznie zejść z ringu. Odniosłem triumf w słownej szermierce, ugodziłem boleśnie gładkiego Teda i odzyskałem miłość damy mego serca. Jestem wspaniały. Naprawdę poczułem się lepiej: znowu byłem dawnym, nieprzyjemnym sobą. Tym ludziom trzeba było poza tym wsadzić kij w tyłek. Rywalizacja jest dobra. Ameryka opiera się na współzawodnictwie. Co by było, gdyby mieszkańcy Dallas polubili nowojorczyków?

Cztery pozostałe osoby gawędziły przez chwilę o niczym ważnym, grzebały w kartonie z kubkami i popijały kawę, starając się przywrócić sympatyczny nastrój, który panował przed pojawieniem się Coreya. Wyjąłem kolejne piwo z lodówki i zwróciłem się z kolejnym pytaniem do pana Nasha.

- Jakimi konkretnie zarazkami zajmują się na Plum Island? - zapytałem tonem profesjonalisty. - To znaczy, po co jakiemuś obcemu mocarstwu bakterie, które

powodują pryszczycę albo chorobę wściekłych krów? Proszę mi powiedzieć, panie Nash, czego mam się bać, żebym wiedział, dlaczego nie mogę zasnąć, kiedy nie będę mógł zasnąć.

Pan Nash przez chwilę milczał, a potem spojrzał na mnie, Maxa i Penrose i odchrząknął.

- Przypuszczam, że wiecie, o jak wysoką stawkę toczy się ta gra - stwierdził. - Bez względu na to, jaki jest wasz stopień wtajemniczenia, jesteście w końcu zaprzysiężonymi policjantami, tak więc...

- Nic, co pan powie, nie wyjdzie poza ściany tej kuchni - zapewniłem go skwapliwie. Chyba że chlapnę o tym komuś jęzorem.

Nash i Foster spojrzeli na siebie i Foster kiwnął głową.

- Wszyscy wiecie albo może czytaliście, że Stany Zjednoczone nie prowadzą już żadnych badań w zakresie broni biologicznej - oświadczył Nash. - Podpisaliśmy traktat w tej sprawie.

- Dlatego właśnie kocham ten kraj, panie Nash. Nie znajdzie pan w nim ani jednej bomby biologicznej.

- Zgadza się. Niemniej... istnieją pewne choroby, które wolno nam legalnie badać i które stanowią zarazem potencjalną broń biologiczną. Jedną z nich jest wąglik. Jak wiecie - mówiąc to, ponownie zerknął na mnie, na Maxa i detektyw Penrose - zawsze krążyły plotki, że na Plum Island mieści się nie tylko ośrodek badań nad chorobami zwierzęcymi.

Nikt z nas się nie odezwał.

- Na pewno nie jest to ośrodek broni biologicznej - podjął Nash. - Nie ma czegoś takiego w całych Stanach. Minąłbym się jednak z prawdą, gdybym nie wspomniał, że eksperci od tej broni odwiedzają czasami wyspę, aby zapoznać się z wynikami niektórych eksperymentów. Innymi słowy, nie ma ostrej granicy między chorobami zwierzęcymi i ludzkimi, pomiędzy ofensywną i defensywną bronią biologiczną.

Bardzo wygodna nieostrość, pomyślałem.

Pan Nash pociągnął łyk swojej kawy, przez chwilę dumał, po czym podjął przerwany wątek.

- Na przykład afrykański pomór świń łączony jest z HIV. Badamy afrykański pomór świń na Plum Island i środki przekazu narobiły hałasu twierdząc, że... to zresztą nieważne. To samo dotyczy gorączki z Rift Valley, wirusa Hanta, innych retrowirusów, a także filowirusów, takich jak Ebola Zair i Ebola Marburg...

W kuchni zrobiło się naprawdę cicho; chyba wszyscy zdaliśmy sobie sprawę, że mówimy o najbardziej przerażających rzeczach we wszechświecie. Jeśli idzie o zagładę nuklearną, ludzie albo traktują ją fatalistycznie, albo uważają, że nigdy do niej nie dojdzie. Jeśli chodzi o broń biologiczną lub biologiczny terroryzm, rzecz jest łatwa do wyobrażenia. I jeśli z laboratorium wydostanie się odpowiednia bakteria, oznacza to koniec świata, nie w jednym błysku, lecz powoli, w miarę jak zaraza będzie przerzucać się z chorych na zdrowych: zwłoki umarłych będą gniły tam, gdzie padli, i film klasy B wkrótce pojawi się w twojej dzielnicy.

- Na te choroby zapadają zwierzęta i dlatego badania prowadzone są pod auspicjami Departamentu Rolnictwa - kontynuował pan Nash tonem, w którym niechęć walczyła z chęcią popisania się: wiem o czymś, o czym wy nie wiecie. - Departament stara się znaleźć lekarstwa na te choroby, aby chronić amerykańskie stada, ale także obywateli. Mimo że funkcjonuje na ogół bariera międzygatunkowa i ludzie nie zapadają na choroby zwierzęce, odkryliśmy, że niektóre z nich potrafią ją przeskakiwać. W wypadku ostatniej choroby wściekłych krów w Wielkiej Brytanii istnieją na przykład dowody, że może przerzucać się na ludzi...

Może moja była żona miała rację co do mięsa. Próbowałem wyobrazić sobie życie z cheeseburgerami z soi, chili no carne i hot dogami z morskich wodorostów. Wolałbym chyba umrzeć. Poczułem nagle, jak ogarnia mnie gorąca miłość do Departamentu Rolnictwa.

Zdałem sobie również sprawę, że to, co mówi pan Nash, to zwykła oficjalna mowa-trawa: historyjki o chorobach przekraczających bariery międzygatunkowe i tak dalej. Tymczasem, jeśli wierzyć plotkom, na Plum Island badano również w bardzo określonym celu jak najbardziej ludzkie choroby zakaźne, czyniąc to w ramach oficjalnie nieistniejącego programu. Choć z drugiej strony może były to tylko plotki i to, co robią na Plum Island, ma rzeczywiście defensywny, a nie ofensywny charakter.

Uderzyło mnie, że wszystko to jest bardzo nieokreślone. Zarazki to zarazki. Nie odróżniają krowy od świni i świni od człowieka. Nie odróżniają badań defensywnych od badań ofensywnych, a także szczepionek od bomb rozpryskowych. Do diabła, nie wiedzą nawet, czy są złe, czy dobre, i gdybym posłuchał dłużej gadki Nasha, gotów byłbym uwierzyć, że na Plum Island produkują nowe wspaniałe kultury jogurtu.

Pan Nash wpatrywał się w swój styropianowy kubek, jakby uświadomił sobie właśnie, że woda i kawa mogą być zarażone chorobą wściekłych krów.

- Problem polega oczywiście na tym - podjął - że kultury bakterii i wirusów mogą być... chodzi o to, że jeśli ktoś zdobędzie te mikroorganizmy i wie, jak je rozmnożyć, wtedy może się ich zrobić bardzo dużo i jeśli zetkną się w jakiś sposób z ludnością, możemy mieć pewne problemy natury zdrowotnej.

- Ma pan na myśli zarazę, która wykończy cały świat, i sterty trupów na ulicach?

- Tak, tego rodzaju problemy zdrowotne.

Zapadła cisza.

- W związku z tym - stwierdził pan Nash - chociaż bardzo nam zależy na odkryciu, kto zamordował Gordonów, jeszcze bardziej zależy nam na ustaleniu, czy Gordonowie zabrali coś z wyspy i przekazali to jakiejś nieupoważnionej osobie bądź osobom.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

- Czy możesz... - zapytała w końcu Beth - czy ktoś na wyspie potrafi stwierdzić, że czegoś brakuje w laboratorium?

Ted Nash posłał Beth Penrose spojrzenie, jakim nauczyciel w szkole obdarza swojego ulubionego ucznia, kiedy ten zada inteligentne pytanie. W gruncie rzeczy

pytanie nie było aż tak inteligentne... ale zrobiłbyś wszystko, żeby tylko wylądować z nią w łóżku, prawda, Ted?

- Zdajesz sobie zapewne sprawę, Beth - poinformował Pan Wyluzowany swoją nową protegowaną - że odkrycie, czy czegoś nie brakuje, może okazać się niemożliwe. Problem polega na tym, że mikroorganizmy można rozmnożyć ukradkiem w laboratorium albo w innej części Plum Island, a potem zabrać je z wyspy i nikt nie będzie o tym wiedział. Sytuacja jest inna niż z produktami chemicznymi lub nuklearnymi, gdzie liczy się każdy gram. Bakterie i wirusy lubią się reprodukować.

Kiedy o tym pomyśleć, to dość przerażające... W porównaniu z reakcją jądrową lub produkcją gazu paraliżującego rozmnażanie zarazków nie wymaga wysokiej technologii. Można to robić w domowym laboratorium, tanio, na pożywcze... Czego używaliśmy w pracowni biologicznej? Rosołu wołowego. Koniec z cheeseburgerami.

- Czy możemy zakładać, że mikroorganizmy badane na Plum Island są w jakiś szczególny sposób niebezpieczne? - zapytała Beth Penrose Pana Wszystkowiedzącego, dumna ze swojego poprzedniego pytania. - Chodzi mi o to, czy modyfikują je tam genetycznie, żeby uczynić bardziej zabójczymi, niż są w stanie naturalnym?

To pytanie nie spodobało się już tak bardzo panu profesorowi.

- Nie - odparł. - To znaczy laboratorium na Plum Island ma możliwość dokonywania różnych zabiegów inżynierii genetycznej, lecz to, co tam robią, polega na genetycznej modyfikacji wirusów tak, aby nie były w stanie wywoływać choroby, lecz pobudzały system immunologiczny do wytwarzania antyciał, w razie gdy organizm zostanie zaatakowany przez prawdziwego wirusa. To rodzaj szczepionki, z tą różnicą, że nie wytwarza się jej przez osłabienie zarazka, co może okazać się niebezpieczne, lecz przez jego genetyczną modyfikację. Odpowiadając w skrócie na twoje pytanie, Beth, zabiegi genetyczne wykonywane na Plum Island mają na celu osłabienie wirusa lub bakterii, a nie zwiększenie jego zabójczej mocy.

- Oczywiście - przytaknąłem. - To drugie jednak także jest możliwe dzięki zdobyczom inżynierii genetycznej.

- Możliwe. Ale nie na Plum Island.

Przyszło mi do głowy, że Nash modyfikuje genetycznie informacje - bierze, jeśli wolno mi tak powiedzieć, wirusa prawdy i osłabia go, tak byśmy otrzymali łagodną dawkę złych wiadomości. Sprytny facet.

Zmęczyła mnie już ta naukowa gadka, następne pytanie zaadresowałem więc do pana Fostera.

- Czy wasi ludzie robią coś, żeby nie dopuścić do wydostania się tego na zewnątrz?

- Zaangażowaliśmy wszystkich, żeby mieli oko na... wszystko. Lotniska, porty i stacje kolejowe są obserwowane przez naszych ludzi, lokalną policję i celników. Straż Przybrzeżna zatrzymuje i przeszukuje statki. Wykorzystujemy nawet Agencję do Spraw Narkotyków, jej łodzie i samoloty. Problem polega na tym, że sprawcy

mają nad nami mniej więcej trzy godziny przewagi, ponieważ, szczerze mówiąc, nie zostaliśmy powiadomieni w odpowiednim czasie...

Mówiąc to, pan Foster spojrział na szeryfa Maxwella, który skrzyżował ręce na piersi i wyduł wargi.

Słówko o Sylvestrze Maxwellu. To uczciwy gliniarz, może niezbyt błyskotliwy, ale też niegłupi. Potrafi być czasami uparty, lecz to cecha większości mieszkańców North Fork, nie tylko komendanta. Dowodząc skromnymi siłami, które muszą współpracować z o wiele większą policją hrabstwa, a czasami nawet z policją stanu, nauczył się, kiedy bronić swego terytorium, a kiedy się wycofać.

Inna uwaga: geograficzne realia nadmorskiej miejscowości w epoce handlu narkotykami sprawiły, że Max ma często do czynienia z Agencją do Spraw Narkotyków oraz Strażą Przybrzeżną. Ludzie z Agencji zawsze podejrzewają, że lokalna policja macza palce w przemyśle; miejscowi, w tym Max, są przekonani, że robi to Agencja. Straż Przybrzeżna i FBI są uważane za czyste, ale podejrzewają Agencję i lokalną policję. Celnicy są na ogół czysti, a jednak wśród nich również zdarzają się kanalie, które za parę dolców odwracają wzrok w drugą stronę. W skrócie mówiąc, narkotyki są najgorszą rzeczą, jaka przytrafiła się amerykańskim siłom prawa i porządku od czasów prohibicji.

I to sprawiło, że przestałem myśleć o Maksie i zacząłem myśleć o narkotykach, o mającej trzydzieści stóp łodzi Gordonów z wielkimi, potężnymi silnikami. Ponieważ nie wyglądało na to, żeby Gordonowie sprzedali komuś zarazki, których uwolnienie doprowadzi do końca świata, być może chodziło o narkotyki. Może trafiłem na jakiś ślad. Może podzielę się swoimi przemyśleniami z resztą, kiedy je trochę uporządkuję. A może się nie podzielę.

Pan Foster wiercił jeszcze przez chwilę dziurę w brzuchu szeryfowi Maxwellowi za opieszałość w powiadomieniu FBI, starając się, byśmy to wszyscy zapamiętali. Coś w rodzaju: „Och, Max, gdybyś tylko przyszedł do nas z tym trochę wcześniej. Teraz wszystko stracone i to twoja wina”.

- Zadzwoń do wydziału zabójstw hrabstwa Suffolk dziesięć minut po tym, jak zawiadomiono mnie o morderstwie - wyjaśnił Max. - Od tego momentu sprawa została przekazana wyżej. Nie można mi nic zarzucić.

Oczy wszystkich zwróciły się ku pani Penrose.

- Nie miałam pojęcia, że ofiary pracowały na Plum Island - stwierdziła.

- Poinformowałem o tym faceta, który odebrał telefon, Beth - odparł Max grzecznie, lecz stanowczo. - To był sierżant... jakiś tam. Sprawdź taśmę.

- Zrobię to - zapewniła go pani Penrose. - Niewykluczone, że masz rację, Max - dodała - ale nie roztrząsajmy tego teraz. Zajmijmy się sprawą.

- Dobra rada - zgodził się pan Foster, po czym powiódł wzrokiem po naszych twarzach. - Istnieje również możliwość, że ci, którzy ukradli ten towar, nie wywieźli go wcale z kraju. Mogą mieć gdzieś niedaleko własne laboratorium, nierzucające się w oczy i niewymagające jakichś szczególnych materiałów ani chemikaliów, dzięki którym moglibyśmy ich namierzyć. Najgorszy scenariusz jest

następujący: bakterie zostaną namnożone, a następnie w odpowiednim miejscu uwolnione. Niektóre z tych organizmów można dostarczyć łatwo wodociągami, inne rozpylić w powietrzu, jeszcze inne przenoszą ludzie i zwierzęta. Nie jestem ekspertem, ale dzwoniłem do kilku osób w Waszyngtonie i z tego, co mi powiedzieli, wynika, że niebezpieczeństwo zarażenia się jest bardzo duże. Oglądałem kiedyś program dokumentalny – dodał – w którym stwierdzono, że pojemnik z węglikiem wielkości puszki od kawy, rozpylony przez pojedynczego terrorystę opływającego łodzią Manhattan, może zabić co najmniej dwieście tysięcy ludzi.

W kuchni znowu zapadła cisza.

– Może być jeszcze gorzej – stwierdził pan Foster, najwyraźniej zadowolony z wrażenia, które zrobił. – Trudno to ocenić. Węgliki to bakterie. Wirusy są niebezpieczniejsze.

– Jeśli dobrze rozumiem, nie mówimy tu o możliwej kradzieży jednego typu wirusa albo bakterii? – zapytałem.

– Jeśli kradnie pan węgliki, równie dobrze może pan ukraść wirusa Ebolę i wszystko, co wpadnie panu w ręce. To stwarza wielorakie zagrożenie, zagrożenie, którego na próżno szukać w naturze i któremu nie sposób się przeciwstawić.

Stojący w salonie zegar wybił dwunastą i pan Ted Nash, wyczuwając dramatyzm chwili i pragnąc zaimponować nam swoją edukacją, którą zdobył bez wątpienia w jednej z uczelni Bluszczowej Ligi, zacytował wieszczka:

– „Oto się spełnia czarna magia nocy i z rozdziawionych mogił tchnienie piekła ziele zarazą na świat”².

– Idę zaczerpnąć świeżego powietrza – oznajmiłem, czując, jak udziela mi się wesoły nastrój.

[\[1\]](#)Plum Island (ang.) - Śliwkowa Wyspa.

[\[2\]](#)William Szekspir, *Hamlet*, akt 3., scena 2., przełożył Stanisław Barańczak.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).